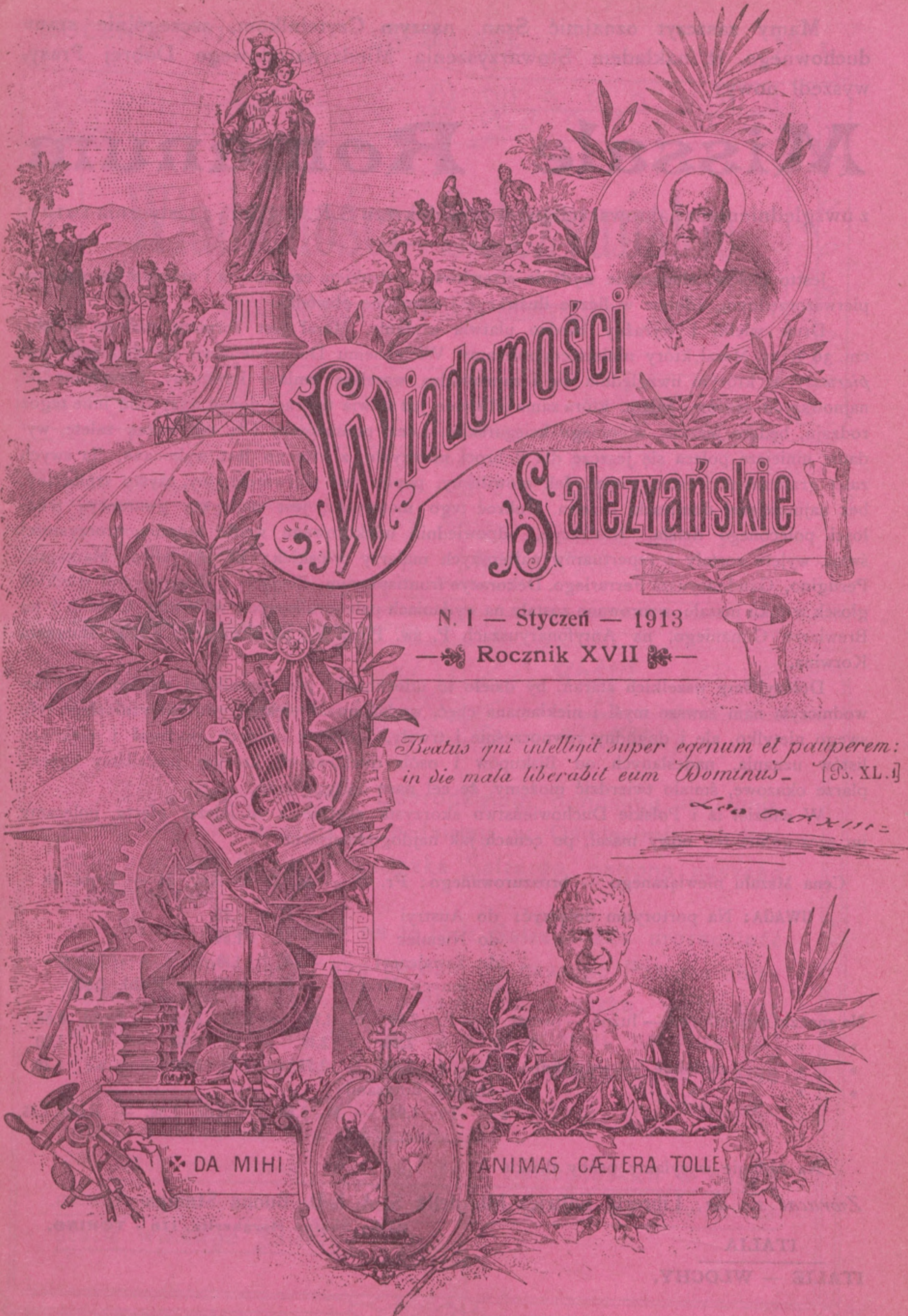

Wiadomości Salezyańskie
N. I — Styczeń — 1913
Rocznik XVII
Beatus qui intelligit super egenum et pauperem: in die mala liberabit eum Dominus. [Ps. XL. 1]
DA MIHI ANIMAS CÆTERA TOLLE

Mamy zaszczyt oznajmić Szan. naszym Czytelnikom, szczególnie stanu duchownego, iż nakładem Stowarzyszenia Międzynarodowego Dobrej Prasy, wyszedł nowy:

# Missale Romanum

z uwzględnieniem najnowszych przepisów dekretu S. R. C. z dnia 23. stycznia 1912 r.

---

Jestto piękne, eleganckie wydanie elzewirowe, z drukiem czerwonym i czarnym na papierze pierwszorzędnym, zdobne w liczne ilustracye i czerwone obwódki.

Druk wielki i wyraźny bardzo ułatwia czytanie. Mszał jest formatu małego foliału, cm. 36 X 25. Mszał, który niniejszem polecamy Wielebnemu Duchowieństwu Katolickiemu, jest *pierwszy*, w którym uwzględnia się i zaprowadza wszelkie zmiany i reformy, przepisane od najnowszych czasów; zaleta, która sama od siebie już stawia tę pracę ponad wszystkie inne tegoż rodzaju, będące jeszcze w obiegu księgarskim. Lecz, pominąwszy i tę tak ważną zaletę, wydanie niniejsze poleca się jeszcze dla dobroci materyału, z którego jest wykonane, dla swych zalet graficznych i estetycznych. Jak mówiliśmy, papier jest pierwszorzędny, czysto szmaciany, bez najmniejszej domieszki drzewa. Dobroć tego materyału, jest najlepszą gwarancyą trwałości poleconego dzieła. Ilustracye, odpowiednio udekorowane wedle stopnia uroczystości świąt, wyjęte zostały z repertuarów najlepszych malarzy włoskich: Bł. Angelico, Mantegna, Perugino, Gaudencyusza Ferrariego. Dekoracye frontispicyum, licujące z dekoracyami wielkich głosek w toku mszału, wzorowane zostały na wydaniach paleograficznych w Monte Cassino i na Brewiarzu Gimaniego, na Antyfonaryuszach P. św. Piusa V., na Brewiarzu Króla Matyasza Korwina.

Dołożyliśmy wszelkich starań, by dzieło to udoskonalić pod wszelkimi względami. Przewodniczyła nam zawsze myśl i niekłamana chęć, wydać mszał piękny, godzień wzniosłego celu swego nietylko, ale i dogodny rownocześnie i trwały. Sądząc z licznych pochwał i pięknych listów uznania, nadesłanych od Biskupów i osób duchownych, którym posłaliśmy egzemplarze okazowe, śmiało twierdzić możemy, że cel nasz osiągnęliśmy.

W nadziei iż i Polskie Duchowieństwo skorzysta chętnie z niniejszej oferty, polecamy im szczególnie ten nowy mszał, po cenach jak najdogodniejszych.

Cena Mszału niewiązanego — broszurowanego: Fr. 25 — M. 21 — Kor. 24 — Rubl. 10.

**UWAGA:** Na portoryum dołączyć: do Austryi — Kor. 1,20.
do Niemiec — M. 1,50.
do Szwajcaryi — M. 1,10.
do innych Krajów — Fr. 4,50. — Rubl. 2,00.

Na znaczki tasiemkowe — luźne — proste: 6 — Fr. 2,00. (M. 1,75. — Kor. 2,00. — Rubl. 0,85.)
» » » » » 8 — » 2,50. » 2,10. — » 2,40. — » 1,00.
» » — ozdobne — jedwabne: 6 — » 3,00. » 2,75. — » 2,90. — » 1,20.
» » » » z złotemi kutasami:
8 — Fr. 4,00. — M. 3,50. — Kor. 3,80. — Rubl. 1,35.

---

Na żądanie wysyłamy próby druku.

*Zwracać się do:* **Libreria Editrice Int. della S. A. I. D. Buona Stampa**
**Corso Regina Margherita, 176 - TORINO.**

ITALIA

ITALIE — WŁOCHY.

ROCZNIK XVII. Styczeń 1913. N°. 1.

# Wiadomości Salezyańskie

Organ Związku Pomocników Salezyańskich

Turyn – Via Cottolengo, 32

TREŚĆ:



Przezacnych Pomocników, co przypadkiem otrzymują zbyteczne egzemplarze Wiadomości, najuprzejmiej prosimy zwrócić je listonoszowi z dopiskiem „zbyteczne," albo podawać je innym do przeczytania.



Czcigodnym naszym Dobrodziejom donosimy uprzejmie, że w dzień 26-y stycznia będziemy w Oświęcimiu obchodzili uroczystość św. Franciszka Salezego, patrona naszego Zgromadzenia.

Zapraszamy gorąco na tę iście Salezyańską uroczystość naszych Pomocników, aby uprosić od naszego Patrona obfite błogosławieństwa na wielką rodzinę Salezyańską, zwłaszcza na jej gałąź polską: na Zakład Oświęcimski, na Nowicyat i Studentat w Radnie, na Synów Maryi w Daszawie, na Zakład w Hawthorne, na Oratoryum w Przemyślu i na Schronisko Imienia Lubomirskich w Krakowie.

Jeżeli pragniemy rozwoju dzieł Salezyańskich w naszej ojczyźnie, pospieszmy w dniu 26-ym stycznia do Oświęcimia uczcić wielkiego Salezego.



# List Najprzew. Ks. Pawła Albery

## do Pomocników i Pomocnic Salezyańskich.

Przezacni Pomocnicy
i Czcigodne Pomocnice!



W październiku roku 1863-go, Ksiądz Bosko wyprawiał z Turynu do Mirabello grono swych synów, by tamże objąć kierownictwo małego seminaryum, przeniesionego potem w roku 1870-tym do Borgo San Martino. Na czele tej pierwszej instytucyi na prowincyi stanął z woli Czcig. Ks. Bosko 26-cio letni Ks. Michał Rua; również i piszący niniejszy list należał do liczby tych pierwszych synów Oratoryum, co je opuszczali w celu założenia poza Turynem pierwszego zakładu Salezyańskiego, tudzież odzwierciedlenia w sobie wzniosłych przykładów licznych cnót i niedościgłej gorliwości o chwałę Bożą naszego Czcigodnego Założyciela. Nikomu wtedy przez głowę nie przeszło, że w krótkim przebiegu półwiekowego okresu Dzieło Salezyańskie tak się szeroko rozgałęzi, że piszący te słowa, drogą Opatrzności powołanym zostanie na rządcę tego Zgromadzenia, na następcę Księdza Bosko i Księdza Michała Ruy!

Wybaczcie mi, o mili Przyjaciele, tę wzmiankę osobistą: ona nasuwa mi myśl wynurzenia naszej niewysłowionej wdzięczności ku Bogu; nikt chyba lepiej nie zdoła ocenić cudów Opatrzności względem naszego Zgromadzenia, niż pierwsi synowie Księdza Bosko. Istotnie ilu niezliczonemi i jak niezrównanemi obsypywał nas Bóg w każdej chwili dobrodziejstwy! żywo tkwi w mej pamięci postać Księdza Bosko, owionięta nadprzyrodzoną i niczem niezachwianą wiarą, spokojna i pewna siebie, jakby z marmuru wykuta, nawet w czasie najcięższych trudności i zawodów; i dziś jeszcze wyraźnie słyszę prorocze jego zapewnienia o niezmiernem rozkrzewieniu się dzieł Salezyańskich.

Jakoż Ksiądz Bosko błogosławił ze swego śmiertelnego łoża całemu szeregowi zakładów Salezyańskich, porozrzucanych po wszystkich krajach Europy, podczas gdy, wiedzieni duchem apostolskim Biskup Cagliero i Monsignor Fagnano zatykali, równo z Krzyżem Odkupienia ludzkiego, sztandar *Modlitwy i Pracy* w odludnych stepach Patagonii i wśród dzikich szczepów ziem magielańskich. Wszyscy pamiętamy budującą gorliwość śp. Michała Ruy w zachowywaniu i przestrzeganiu by najdrobniejszych reguł i wskazówek, przekazanych od Księdza Bosko, posuniętą aż do skrupulatności; zato byliśmy i świadkami nagrody, jaką otrzymał od Boga już tu na ziemi: pod nim bowiem ilość zakładów Salezyańskich pięćkrotnie się wzmnożyła. Ja również zmuszony jestem wyznać, że i po śmierci tych mężów Pańskich opatrzna ręka Boża nie ukróciła, nie powściągnęła się względem nas, gdyż, mimo niegodności mej osoby, Zgromadzenie nasze krzewi się stale i pełni gorliwie swe posłannictwo na obu półkulach.

Nie zapomnę nigdy o drodzy Pomocnicy i gorliwe Pomocnice słodkich uczuć, doznanych w marcu zeszłego roku, gdym słyszał z ust wszystkich Prowincyałów Starego Świata, zebranych społem tu u stóp naszej Wspomożycielki, jednogłośny wyraz najżywszej wdzięcz-

ności i najgłębszego uznania za skuteczną i stateczną Waszą współdziałalność. To samo stwierdziłem nieco później ja sam, osobiście, zwiedzając nasze domy w Anglii, Belgii i w Średnich i Północnych Włoszech. Na każdym bowiem kroku spotykałem liczne szeregi wybitnych osobistości wszelkich klas społecznych, chowających w głębi serca pamięć Czcig. Ks. Bosko i jego bezpośredniego Następcy: ich też ofiarnością, ich to pomocą materyalną i moralną zakłady Salezyańskie nie tylko utrzymują się we wspomnianych krajach, ale owszem rozszerzają się i coraz rozleglejsze zataczają koła swej działalności. Innym dowodem, że Pan Jezus błogosławi naszemu Zgromadzeniu, zsyłając nam widomą pomoc w licznych i gorliwych popieraczach naszego dzieła, było VI-te zebranie Dyrektorów dyecezalnych i Dekuryonów, które odbyło się niedawno w Walsalice. Gdy zaś wspomnę o coraz częstszych głosach podziwu i uwielbienia dla Ks. Bosko i jego dzieła na licznych zjazdach i konferencyach, mających na celu odrodzenie społeczeństwa, a zwłaszcza skuteczne zaopiekowanie się młodzieżą, to serce moje wzbiera gorącem uczuciem niewysłowionej wdzięczności ku Bogu za tyle dowodów Jego łask. Za ich sprawą Zgromadzenie nasze zyskuje coraz więcej rozgłosu, szeregi naszych Pomocników się powiększają, dobry przykład działa skutecznie na środowiska, a Synowie Księdza Bosko łatwiej będą mogli przeprowadzać świeżo podjęte przedsięwzięcia na przysporzenie Bogu chwały a duszom zbawienia.

### Dzieła dokonane w roku 1912.

Wobec wielkiej ilości istniejących już zakładów Salezyańskich, staraliśmy się ograniczyć nowe fundacye tylko na te, które najbardziej były naglące, dając i tu pierwszeństwo oratoryom świątecznym, parafiom i instytucyi Maryi Wspomożycielki, czyli Synów Maryi.

Za to wszelkiego dołożyliśmy starania, by jak najwięcej postąpić w udoskonaleniu i wykończeniu zakładów już istniejących. Szczególnie potrzebującym pod tym względem był zakład Oświęcimski, on też na pierwszej stanął linii. Nie żałując wydatków, powiększyliśmy go o całe jedno skrzydło, w którem umieszczono pracownię stolarzy, sale szkolne, naukowe i sypialne.

W Przemyślu obok Oratoryum, rzucono fundamenta pod nowy a nadzwyczaj potrzebny kościół parafialny obrządku łacińskiego.

W Daszawie również dokonano pewnych zabudowań, niezbędnych dla lepszego rozwoju zakładu.

Wiedzieni najlepszą chęcią przyjścia ku pomocy wychodźcom polskim, otworzyliśmy, nie mogąc na razie więcej uczynić, dział polski w kolegium Krzysztofa Kolumba w *Chawthornie* koło Nowego Yorku. Obecnie liczy on już 20-stu alumnów i mamy nadzieję, że na przyszły rok liczba ich powiększy się znacznie. Tym samym duchem miłości Chrystusowej powodowani, przyjęliśmy opiekę duchowną nad polską parafią w *Porth Chester*, dokąd co niedzieli i święta dojeżdża jeden z naszych współbraci kapłanów z wyżej wymienionego Chawthornu.

W *Wercelli* (Włochy) objęliśmy zarząd powierzonej nam przez miejscowego Arcybiskupa parafii, obok której powstało niebawem oratoryum świąteczne. W tejże archidyecezyi, w *Salugia*, nie mogąc się oprzeć ustawicznym naleganiom tamtejszego Ks. proboszcza, przyjęliśmy kierownictwo nowo-powstałego oratoryum, fundowanego nakładem jednego z Byłych Wychowanków Ks. Bosko. Celem ułatwienia młodzieńcom narodowości niemiec-

kiej pojścia za ich powołaniem, przesiedliliśmy ich z *Penango* do monarchii austro-węgierskiej, do miejscowości zwanej *Werżej w Styryi;* pozostały po nich zakład penangowski przeznaczony został na pomieszczenie Synów Maryi, narodowości włoskiej; przyczyni się to niezawodnie do lepszego rozwoju tego, tak drogiego sercu Ks. Bosko, dzieła Maryi Wspomożycielki.

W Ameryce Północnej, niedaleko Nowego Yorku, mianowicie w *Porth-Chester* — powierzono nam zarząd znacznej parafii dla wychodźców Włochów, obok wyżej wspomnianej parafii polskiej. W rzeczypospolitej nikaraguajskiej — w *Granadzie* — przyjęliśmy szkołę gminną, a nadto rozpoczęliśmy budowę nowego gmachu, przeznaczonego na szkoły rzemieślnicze.

W *Makao* (Chiny) za staraniem tamtejszego Ks. biskupa Paulina d'Azewedo, podjęliśmy się na nowo kierownictwa miejscowej ochronki, pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia; krom tego powierzono nam i nadal ewangelizacyę dużego okręgu *Heung-Shan*, piękne rokującego nadzieje pomyślnego rozwoju Chrześcijaństwa.

Nadto powiększyliśmy znacznie pokaźną liczbę dawniej założonych zakładów, oratoryów świątecznych i kościołów. Nie będę Was nużył suchem wyliczaniem nieznanych Wam nazw; jednakże nie mogę pominąć milczeniem kilku nowych kościołów świeżo poświęconych. I tak: w *Puntarenas* (Chile) oddano na służbę Bożą nową świątynię pod wezwaniem Najśw. Maryi Panny Niepokalanie Poczętej. Od dłuższego już czasu dawał się tam odczuwać brak domu Bożego dla szybko rosnącej ludności tego miasta, wstępującego na tory wielkiego przemysłu. Równocześnie pracujemy tu nad wzniesieniem zakładu imienia Ks. Jana Bosko. Pod nowe kościoły założyliśmy fundamenta, prócz przemyskiego, w *Rawsonie* (Argentyna), w *Kujabá* i w *Pernambuco;* w *Casale Monferrato*, we *Florencyi* (Włochy) i na górze *Tibi Dabo* (Hiszpania) budujemy obszerne świątynie ku czci Maryi Wspomożycielki, św. Joachima, św. Rodziny i Najsł. Serca Jezusowego.

Dodajcie do tego, o Przezacni Pomocnicy i gorliwe Pomocnice, ogromne wydatki codzienne na utrzymanie tylu zakładów, kościołów, misyi, oratoryów i tych, co je zamieszkują; wydatki na utrzymanie nowicyatów i studentatów filozofii i teologii; wydatki nadzwyczajne, podjęte i tego roku na nową wyprawę misyonarzy, a z łatwością przekonacie się, że ofiary Wasze obracane bywają z świętą przezornością i skrupulatną oględnością na cele najszlachetniejsze.

## Na rok 1913-ty

dwie tylko rzeczy gorąco polecam Waszej uwadze.

Rok ten, któregośmy się za szczególną łaską Bożą doczekali, to nader ważny rok w historyi Kościoła: z nim bowiem zamyka się szereg 16-stu wieków od czasu uznania Chrześcijaństwa za religię, którą można wolno i publicznie wyznawać. Cesarz Konstantyn Wielki edyktem meydolańskim, wydanym z wiosną roku 313-go, wyzwolił oblubienicę Chrystusową z pod jarzma i przewagi materyalnej szatana, posługującego się tyranią pogaństwa, by ją prześladować i możliwie zgnieść i zadusić w jej własnej krwi. Nadając Kościołowi niektóre przywileje, krom praw niezbędnych każdemu odcieniowi społeczeństwa, wyniósł Religię Chrześcijańską na jej jedynie prawem przyrodzonem i nadprzyrodzonem przynależne stanowisko. Oprócz tego dla nas rok ten ma i tę jeszcze nadzwyczajność, iż w nim właśnie obchodzimy 50-tą rocznicę rozwoju naszego Zgro-

madzenia, a ćwierćwiekową zejścia z tego świata Czcig. Ks. Bosko. Oto, dlaczego ogromnie on ważny dla nas wszystkich.

By godnie obchodzić to wielkie zdarzenie dziejowe, które stanowi nową epokę w historyi Kościoła, życzyłbym sobie, aby wszyscy nasi Pomocnicy i Pomocnice powzięli stateczne postanowienie stosowania się zawsze i wszędzie, w codziennem swem życiu szczególnie, do zasad nauki Chrystusa Pana i, by w ten sposób, o ile to od nich zależy, przyczynili się skutecznie do tryumfu Kościoła. Oto, co Ks. Bosko pisze w Regulaminie: ,,Główny cel Pomocników jest udoskonalenie się własne, starając się o tryb życia duchowy najbardziej zbliżony do sposobu życia zakonników.“ To też Ojciec św. Pius X-ty, znający dobrze ducha Ks. Bosko, mimo licznych trosk i zachodów nieoddzielnych od rządów powszechnego Kościoła, dając jeden dowód więcej swej iście ojcowskiej życzliwości dla Zgromadzenia Salezyańskiego, zaleca w cennym swym rękopisie z 11-go sierpnia r. b., wszystkim Pomocnikom, aby każdy z nich: ,,*przyczynił się wedle sił do utrwa-*
« *lenia i pomnożenia prawdziwego ducha*
« *Pana naszego Jezusa Chrystusa w wszy-*
« *stkich Pomocnikach dla własnego ich*
« *uświęcenia się, aby potem oni sku-*
« *tecznie oddawać się mogli ratowaniu*
« *młodzieży, wspomaganiu powołań do*
« *stanu duchownego i zakonnego, roz-*
« *powszechnianiu dobrej prasy, zakłada-*
« *niu i utrzymywaniu oratoryów świą-*
« *tecznych, rozkrzewianiu ducha posłu-*
« *szeństwa, miłości i poddaństwa Kościołowi i Papieżowi.* »

Ksiądz biskup zaś Morganti pisze w swym *Podręczniku dla Pomocników Salezyańskich:* ,,Błędnem jest mniemanie tych, co sądzą, iż Pomocnik powinien pracować jedynie dla zbawienia bliźnich. Pomocnik obojętny na osobisty postęp w doskonałości chrześcijańskiej, nie okaże z pewnością wielkiej gorliwości, by skłaniać innych do coraz cnotliwszego życia... Co najwyżej może boleśnie odczuwać potrzeby bliźnich, dotyczące doczesnego życia, oraz stosunków społecznych; bodźcem jego działalności społecznej w tym razie bywa jedynie czysto ludzkie politowanie nad niedolą pewnej części ludzkości, ale nigdy nadprzyrodzona miłość bliźniego, jedyna sprężyna, która nagliła do czynu Ks. Bosko, a w czem jego Pomocnicy winni go ściśle i stale naśladować..... Niechże więc każdy Pomocnik przedewszystkem popatrzy sam we własne serce, czy niemasz tam chwastów do wyplenienia, niech rozżarzy je szczerą i dobrze pojmowaną pobożnością, upiększy je cnotami właściwemi swemu stanowi: w ten sposób nietylko zapewni zbawienie wieczne swej duszy, ale nadto ujrzymy go skrzętnym w pracy dla bliźnich.“

Na uczczenie zaś pamięci półwiekowego zgonu Ks. Bosko, odnówcie, o Przezacni Pomocnicy, zdwójcie, jeśli to możliwe, waszą ofiarność na rzecz utrwalenia i zapewnienia życia naszym zakładom wszystkim bez wyjątku, bo niemasz ani jednego, któryby nie liczył na Waszą pomoc. Oratorya świąteczne również oczekują na Waszą ofiarność, inaczej praca nasza nie wyda pożądanego plonu, gdyż wymogi naszej doby rosną z każdym dniem, a bez środków pieniężnych, bez środków materyalnych nie podobna zdobywać się ustawicznie na coraz nowe środki pociągania dzieci do naszych oratoryów. Ochronki zaś, w których zupełnie darmo dajemy przytułek zgoła opuszczonej dziatwie, a jest jej niemało, wskutek podrożenia żywności znajdują się w smutnem położeniu finansowem, mimo stałego napływania zwykłych ofiar. Nawet i szkoły rzemieślnicze, pomimo wrzekomych dochodów, często wymagają zapomogi nadzwyczaj-

nej, gdyż co roku wymagają ulepszeń technicznych, za czem idą nieuniknione wydatki, ile że nowy kierunek kształcenia tegoczesnych rękodzielników wycisnął na nich piętno ściślej szkolne. Wszystkie wogóle zakłady, wobec skromnej pensyi wychowanków, oglądają się za Waszą ofiarą.

A Misye? W samej tylko Patagonii 25 miejscowości, liczących po 500, po 1000, po 2 i 3 tysiące dusz, zaledwo co dwa lub trzy lata mają szczęście ujrzeć misyonarza; ach! gdybyśmy mogli posłać na stałe do każdej choć po jednym kapłanie! W rzeczypospolitej ekwatoryańskiej przedwczesna śmierć kilku pełnych poświęcenia misyonarzy, przerzedziła szczupłe i tak szeregi tamtejszych pracowników Winnicy Pańskiej: W *Matto Grosso* liczne plemiona bororoskie proszą o przyjęcie do naszych osad, a nasi misyonarze są zmuszeni odprawiać ich z niczem dla braku pracowników ewangelicznych, oraz i środków nieodzownych na utrzymanie tych koczowniczych ludów.

W Chinach gorsze jeszcze panują stosunki: ileż to dusz oczekuje wykupienia nietylko duchownego, ale wprost cielesnego, wykupienia z niewoli, do której się dostały przez niesumienność własnych swych rodziców, co, czyto z biedy, czy też z niechęci ku własnym dzieciom, odstąpili je za marne wynagrodzenie osobom zamożnym, nieuczciwym wyzyskiwaczom. Aby tym przyjść z pomocą duchowną, aby je dla wiary świętej pozyskać, wprzódy trzeba je wykupić ze szpon niewoli. Cóż powiedzieć o tych setkach niemowląt i nieletnich dzieci, porzucanych przez nieludzkich rodziców po ulicach i zaułkach miasta? Choćbyśmy setki ochronek liczyli w tem państwie słońca, jeszczebyśmy nie zdołali wszystkich przygarnąć! my zaś zaledwie szczupłe możemy posyłać tym misyonarzom zapomogi, ciesząc ich dobrem słowem i nadzieją, że skoro Opatrzność coś więcej nam udzieli, oni pierwsi z tego korzystać będą.

Otóż, jak obszerne pole czeka Waszej współdziałalności, o Przezacni Pomocnicy! Ileż istot wyciąga do Was błagalne dłonie o rychłą pomoc! iluż naszych Braci mogłoby skuteczniej pracować dla dobra dusz Krwią Przenajdroższą Chrystusową odkupionych, gdyby nie ciążyła im ta przeciężka kula a nóg: codzienna troska o grosz! Wiem ja dobrze, że, mimo najlepszych chęci nie możecie wspomagać wszystkich zakładów : to też polecam Waszej ofiarności szczególnie te zakłady, które najbliżej Was są położone. Jednakże wspomagając te najbliższe Wam zakłady, nie zapominajcie o naszych misyach. Ofiary na misye przeznaczone, najlepiej jest posyłać wprost na ręce Ks. Pawła Albery w Turynie (Włochy). Bądźcie pewni, iż każdy grosz wydany na powyższe cele, stokrotnie Wam zwrócony zostanie.

* * *

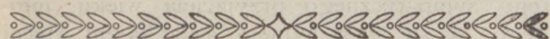
Co do nas mogę Was zapewnić, że nigdy nie zapominamy o tem, co dla nas czynicie. Milo mi powtórzyć Wam z ręką na sercu słowa Ks. Bosko.“ „Wszyscy kapłani, klerycy i wychowankowie nasi codziennie rano i wieczór modlą się z głębi serca za swych Dobrodziejów; nie minie dzień w którym oni w szczególny sposób nie błagali Pana Jesusa o niebieskie łaski i błogosławieństwa dla Was, dla Waszych rodzin i dla wszystkich drogich Waszemu sercu osób.

Będą się modlić o pokój i zgodę w rodzinach Waszych, o czerstwe zdrowie, o życie wolne od wszelkich nieszczęść duchownych i doczesnych, o wytrwałość w dobrem, o jak najdłuższe dni, a w końcu o śmierć szczęśliwą, którąby Wam otwarła podwoje niebieskie. A

jeśli nam Pan pozwoli spotkać się z wami kiedykolwiek w ciągu tej ziemskiej pielgrzymki, wtedy, pomni doznanych dobrodziejstw, uchylimy ze czcią czoła przed Wami, na znak najżywszej wdzięczności, a Najwyższy zgotuje Wam w Niebiosach nagrodę obiecaną sprawiedliwym i dobrze czyniącym."

Oby te życzenia naszego Założyciela, uzewnętrznione przezeń na tymsamym stoliku, przy którym w tej chwili kreślę te słowa, urzeczywistniły się w całej swej pełni w tym pamiętnym roku. Pamiętajcie też i Wy przed Bogiem o tym, co ma zaszczyt kreślić się Waszym pokorn m sługą w Chrystusie Panu

Ks. PAWEŁ ALBERA,
Główny Przełożony Zgrom. Sal.



## KILKA ZDARZEŃ PRZYPISANYCH WSTAWIENNICTWU CZCIG. KS. BOSKO.

### Cudownie uzdrowiona.

Dwa lata temu, pewnego dnia miesiąca sierpnia, jedna z najmniejszych wychowanic zakładu, licząca lat 8 ½, uczuła nagle silny ból głowy. Położyła się natychmiast do łóżka, lecz zresztą nie było się czego obawiać. Ponieważ jednak w dniu następnym miałam wyjechać na ćwiczenia duchowne, kazałam przeto wezwać lekarza, który stwierdził lekkie zasłabnięcie. Spokojna tedy i bez wszelkiej obawy wyjechałam z domu, poleciwszy przedtem chorą opiece Ks. Bosko. Zaledwie jednak przybyłam do Nizzy, otrzymałam list naglący, w którym mi donoszono, że chora zapadła na febrę połączoną ze suchotami galopującemi.

Choroba wkrótce jeszcze się pogorszyła tak, że dni dziewczyny zdawały się być policzone. Można sobie wyobrazić mój niepokój! Przypadkiem a raczej z rozporządzenia Boskiego, w końcu ćwiczeń duchownych przybył do Nizzy Ks. Rua. Udałam się natychmiast do niego i opowiedziałam mu smutny wypadek. Upadłszy zaś przed nim na kolana, dodałam następujące słowa: „Ja oddałam to dziecko w ręce Ks. Bosko; pobłogosław mu tedy w imieniu Jego i racz nam uprosić pożądaną łaskę." Ks. Rua wzruszony udzielił swego błogosławieństwa i w końcu rzekł: „Dobrze, dobrze, módlmy się gorąco."

Dwie godziny później Przełożone postanowiły abym wyjechała do Lugo, gdzie, według orzeczenia lekarzy, miałam zdążyć, by zaledwie zastać umierającą moją wychowanicę. Nie będę opisywała cierpień doznanych w ciągu owej nocy w czasie podróży. Zaledwie wysiadłam z pociągu, skierowałam swe kroki ku zakładowi i oto spostrzegłam lekarza, który mi szedł naprzeciw..... Przestraszyłam się niezmiernie, obawiając się, że już za późno... lecz przeciwnie: zaledwie mnie lekarz spostrzekł, przyspieszył kroku, aby mi oznajmić, że gorączka chorą opuściła i, że się czuje o wiele lepiej. Ja prawie nie chciałam temu uwierzyć, lecz, dzięki Bogu, była to słodka rzeczywistość, którą wnet stwierdziłam własnemi oczami. Przekonałam się także, że początek owego cudownego polepszenia przypadał w tę samą chwilę, w której ja prosiłam u nóg Ks. Ruv o wstawiennictwo Ks. Bosko za konającą. Chora bowiem już od dwóch dni była pogrążona w letargu a kapłan z trudnością znalazł chwilkę czasu, aby ją wyspowiadać; wieczorem zaś owego dnia przechodziła chora takie przesilenie, że infirmarka obawiała się, iż chora lada chwili wyzionie ducha. Lecz oto, ona nagle zaczyna się mile uśmiechać, otwierać oczy dotychczas zawsze zamknięte i spoglądać w jedno miejsce stancyi, jakby podziwiała jakieś przyjemne zjawisko.

Dowiedziałam się później od samej dziewczynki, że widziała Ks. Bosko takiego, jaki się znajdował w pokoju Przełożonej, lecz on stał poza drzwiami a przy boku miał wielkiego psa szarego, który się wysilał, by wejść do pokoju. Zwracał się jużto do drzwi, jużto do Ks. Bosko, kręcąc ogonem i skowycząc, jak gdyby prosił, by mu otworzono. Ks. Bosko z uśmiechem otworzył drzwi; pies pobiegł natychmiast ku łóżku chorej i zaczął lizać jej ręce. Wszedł też do pokoju Ks. Bosko i zbliżył się do niej z uśmiechem na ustach. — Oto fakt opowiedziany przez nią samą; nie wiem jaką wagę do niego przywiązać; to jednak pewne, że chora, znajdując się w zakładzie od 5 roku życia, rzadko kiedy miała sposobność widzieć psy (których, mówiąc nawiasem, ogromnie się boi) i nie mogłaby opisać tak dobrze jego ruchów, gdyby go nie była rzeczywiście widziała.

Od owej chwili, jak już wyżej wspomniałam, chorej się polepszyło i w krótce uzyskała całkowicie zdrowie. Ci, co ją byli odwiedzać w czasie jej choroby, nazwali ją żartem zmarłą wskrzeszoną; ja sama uważam ją za taką i dziękuję z serca Ks. Bosko, który zdziałał za przyczyną Wspomożycielki Wiernych ów cud.

Lugo, 16. marca 1910.

S. Antonietta Maria Bosio,
Przełożona zakładu św. Gaetana.

## Trzy cuda M. B. Wsp. Wiernych przez Ks. Bosko.

Składam publiczne podziękowanie N. M. P. Wsp. Wier. i Wielebnemu Słudze Bożemu Ks. Janowi Bosko: za cudowną pomoc przy maturze, za nawrócenie z niedowiarstwa i życia rozwiązłego, za uzdrowienie z choroby nieuleczalnej.

« A jak się stało, opowiem ».

Obecnie mam lat 25 przeszło. Prócz II kl. gimn. i encyklopedycznego oczytania nie posiadałem żadnej gruntowniejszej, mianowicie szkolnej wiedzy. Atoli straszna walka o byt zmusiła mię do ostatnich wysiłków celem uzyskania świadectwa dojrzałości

Kto wie jak olbrzymi jest materyał wymagany od prywatystów przy maturze austryackiej, ten przyzna, że przedsięwzięcie było stanowczo ponad siły ludzkie, jeśli miało być dokonane w jednym, a nawet niecałym roku, w pośród niedostatku i wielkich przeciwności, bo przy braku zdrowia, pamięci, niezbędnych książek i pomocy, a przedewszystkiem przy niezwykłym braku czasu. W ciągu dnia bowiem musiałem pracować na chleb codzienny. Na domiar zaś złego, zastępca mego szefa z nieuzasadnionych pobudek czysto osobistych, prześladował mię i wszelkimi sposobami usiłował przeszkodzić mi w dopięciu celu. Głównie zaś obarczał mię nadmierną pracą akordową, która pochłaniała znaczną ilość godzin wieczornych, jedynego czasu dla mnie wolnego na naukę.

W kwietniu miałem złożyć egzamin wstępny z 13-tu przedmiotów. Po niemiecku ledwie umiałem *stękando* sklecić jakie takie suchotnicze zdańko. Lecz ponieważ nie z mojej winy nie złożyłem matury niegdyś w czasie właściwym, a dziś robiłem, co mogłem, więc udałem się z niezwykłą u mnie wiarą do stóp cudownego obrazu « *Smętnej Dobrodziejki* », M. B. Bolesnej w kościele OO Franciszkanów, i — ze wszystkich wraz ze mną zdających zdałem prawie najlepiej!...

Teraz do głównej matury zostały mi tylko cztery miesiące. Pod grozą śmierci głodowej nie mogłem posady porzucić, a tem samem uwolnić się od mych całodziennych obowiązków. Ale, gdy przeważnie bezsenne nocy silnie nadwyrężyły me zdrowie, byłem zmuszony wreszcie na dwa miesiące przed egzaminem uwolnić się od dotychczasowego mego zajęcia, by ostatecznie przygotować się nietyle już z łaciny i literatury, ile raczej z algebry, geometryi, historyi, a głównie z greki. Ani nawet mowy nie było o jakiejś nauce racyonalnej, gdyż po prostu brak było czasu materyalnego na choćby pobieżne przeczytanie wszystkich autorów. Lecz to najważniejsza, że dotąd języka greckiego nie uczyłem się jeszcze nigdy. Chcieć zaś w paru miesiącach przyswoić sobie z greki to wszystko, na co w szkole potrzeba lat sześć — to szaleństwo; zwłaszcza, jeśli lwią część dnia potrzeba poświęcić na inne przedmioty. A jednak, gdy nadszedł termin egzaminu siadać musiałem, gdyż byłem bez posady!

Dawniej, w moich latach dziecięcej wiary, nieraz udawałem się z prośbą o pomoc do wielu Świętych. Dziś jednak całą przyszłość moją, sprawę od której zależeć miało życie moje (nosiłem się z zamiarem samobójstwa wrazie niezdania), postawiłem na jedną kartę! I, by nie mieć żadnej wątpliwości komu w szczególności miałbym do zawdzięczenia cud oczywisty, postanowiłem błagać o pomoc tylko samego Ks. Jana Bosko.

O tym wielkim Apostole młodzieży słyszałem bardzo wiele, pokochałem go i zapragnąłem gorąco, by położenie moje beznadziejne przyczyniło się znacznie ku rozszerzeniu czci tego sympatycznego przyjaciela wieku młodego, by się stało jednem światełkiem więcej w sprawie kanonizacyjnej tego Wieleb. Sługi Bożego, a zarazem, by przez publiczne ogłoszenie tego (ze względu na okoliczności) niezwykłego faktu, zachęcić wszystkich moich młodszych i starszych kolegów do doświadczenia na sobie we wszelkich przykrościach życia skuteczności pokornych próśb Ks. Bosko.

Otóż na pięć minut przed egzaminem podano mi *Homera* do przygotowania. W języku greckim byłem tak słaby, że nawet liter dobrze rozróżniać jeszcze nie umiałem, albowiem w wymowie raz po raz brałem jedną za drugą. Pod wpływem wrażenia zapomniałem zupełnie nawet zwyczajnego skandowania, a o treści danego ustępu ani pojęcia nie miałem, gdyż z całego rozdziałku znałem tylko ośm słówek.

Ledwie odnowiłem me przyrzeczenia dane Ks. Bosko w czasie wysłuchanej dnia tego Mszy św., zostałem wezwany. *Alea jacta!*

Siadam i czytam gładko i potoczyście, jak nigdy przedtem. Dosyć, dosyć — woła przewodniczący — proszę zatem tłumaczyć.

W tej chwili w umyśle moim powstaje nagle dziwne jakieś światło. Patrzę w ustęp i — o dziwo! rozumiem wszystko niemal jak gdybym miał przed sobą « *Pana Tadeusza* ». Rozumiem pierwiastkowo słówko za słówkiem. Poszło dobrze.

Dostaję nowego autora. Z całego dzieła znałem tylko początek jednego z ostatnich rozdziałów. Profesor wkłada palce między kartki, rozwiera książkę na chybił-trafił. « Proszę przez chwilkę przypatrzyć się i zaraz treść opowie-

dzieć ». Patrzę i w tej chwili poznaję dobrze mi znany początek właśnie *mego* jedynego rozdziału. Wszak i w tem namacalny palec Boży! Zdałem.

A jak greka, tak poszły iście cudownie i inne przedmioty. Przyrzekłem Ks. Bosko, iż owoc z matury obrócę nie tyle na własną korzyść, ile na chwałę Bożą, dla dobra młodzieży. I wysłuchał mię Ks. Bosko, wstawił się za mną do N. Panny Wsp. W. i zdał przez usta moje. Lecz nie na tem koniec. To dopiero cud jeden.

przystępując dla oka ludzkiego do Komunii niemal codziennej — świętokradzko!

Dusza moja dla nieba już dawno umarła!.. Lecz wskrzesił ją Ks. Bosko z miłosierdzia N. M. Panny. Albowiem mimo tak grzesznego życia dochowałem przyrzeczenia danego umierającej mej matce, a mianowicie, że jak długo żyć będę, żadnego dnia nie opuszczę odmawiania koronki na cześć Niep. Dziewicy. I tylko temu chociaż tak małemu nabożeństwu do M. B. zawdzięczam me ocalenie. Jestem przekonany, że nawrócenie moje jest miłosier-



Nowy zakład Salezyański w Werżeju (Styrya).

Od lat wielu pod względem wiary byłem sceptykiem o wszystkiem wątpiącym, pod względem obyczajów wyuzdanym rozpustnikiem we wszelkich formach, a zarazem nałogowym złodziejem, który z powodu nabytego już pociągu, dopuszczał się dość licznych oszustw, a nawet i większych defraudacyj.

Jeśli pod względem fizycznym byłem z powodu nadużyć zmysłowych niemal zupełnie zrujnowanym, to pod względem moralnym byłem jednostką nawskróś zdeprawowaną, zmarnowaną, bez charakteru i bez siły woli, o zatrważających objawach anormaliów psychicznych. Lecz rzecz najstraszniejsza, że od szeregu lat dopuszczałem się wśród tego życia występnego i gorszącego zbrodni okropnej,

nem dziełem wyłącznie N. P. Maryi, która w tym wypadku chciała się posłużyć Wielebnym swym sługą, Janem Bosko.

Mianowicie, doświadczając na sobie coraz to jaskrawszej pomocy z Nieba przy każdym nowym przedmiocie, jakie składałem we wstępnym i głównym egzaminie, nie mogłem nie uznać w pomyślnie przeze mnie złożonej maturze cudu Boskiego. Spadła łuska z oczu mej duszy. Przejrzałem, poznałem palec Boży i zawstydziłem się niezmiernie. Czułem, że nietylko szlachetność, ale wszelka sprawiedliwość wymaga ode mnie, bym się godnie odwdzięczył tak dobremu Panu... Z całą stanowczością tedy zamierzyłem dotychczasowe życie swe z gruntu zmienić, nawrócić się i tak dotrzymać

obietnicy danej Ks. Bosko w dzień egzaminu, iż, jeśli zdam pomyślnie, cały owoc matury poświęcę na chwałę Bożą, w szczególności zaś dla dobra młodzieży. Spowiedź generalna z całego życia, wraz z niezachwianem postanowieniem co do przyszłości — to łaska nadzwyczajna już druga, aczkolwiek tylko jedno i tosamo miłosierdzie Boże, podczas gdy ciało zachowało od śmierci, równocześnie duszę już martwą wskrzesiło.

Ale oto nadszedł czas zrealizowania mych planów i postanowień. I właśnie kiedy w poszukiwaniu za winnicą Pańską namyślałem się, który z zakonów wychowawczych mam sobie obrać, najniespodziewaniej, a zarazem z niewynownem mem przerażeniem, zauważyłem pierwsze objawy choroby nieuleczalnej, a przynajmniej według statystyki, choroby w której nawet po kilkakrotnych, a ciężkich operacyach wynik nigdy nie jest pewny.

Choroba rozwijała się bardzo szybko. Mimo zabiegów najbardziej fachowego lekarza występowały symptomata coraz to groźniejsze. Ma samą myśl, iż za dni parę będę musiał poddać się napewno bezskutecznej a jednak niebezpiecznej operacyi — truchlałem. Rozumiałem, że Pan Bóg odrzucił spóźnioną gotowość moją na bój żywota, a jako pokutę za ciężkie grzechy moje zażądał ofiary z samego życia. Mimo to jednak za przykładem Abrahama *contra spem spem habebam.* Z całą ufnością zwracam się tedy do Ks Bosko i przedstawiam mu, że beznadziejny stan mego zdrowia nie pozwala mi na spełnienie danej mu obietnicy. A na dowód wiary mojej w moc i dobroć N M. P. Wsp. Wiernych, od tej modlitwy zaprzestałem zupełnie używania wszelkich środków lekarskich.

I — o dziwo! Nietylko nie przyszło do operacyi, ale owszem od tegoż dnia bez żadnych zabiegów leczniczych objawy strasznej choroby poczęły szybko zanikać, aż wreszcie zupełnie ustąpiły I to cud trzeci!

Za te i za wiele, wiele innych łask nadzwyczajnych odebranych z miłosierdzia Najsł. Serca P. J. od N. M. P. Wspomożycielki Wier. za przyczyną Ks. Bosko składam niniejszem publiczne podziękowanie

Dziś przez zbytnią dobroć Pańską zupełnie zdrowy duchowo i fizycznie wstępuję już na drogę szczerej pokuty.

*Sapienti sat. Qui habet aures audiendi, audiat!*

Koledzy i Przyjaciele moi! Serc nie zatwardzajmy, ale zawróćmy z drogi złej, a czyńmy dobrze — póki mamy czas! *Vita brevis est!*

Kraków, 8-12-1912.

KORDOLENS.

## SKARBIEC DUCHOWNY.

Pomocnicy Salezyańscy, którzy **wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunię św.**, odwiedzą nabożnie jaki Kościół lub Kaplicę publiczną albo, jeśli żyją wspólnie, własną Kapliczkę i tamże **pomodlą się** na intencyę Ojca św., zyskać mogą następujące **odpusty zupełne:**

a) **każdego miesiąca:**

1) w dzień, przez każdego dowolnie obrany.
2) w dzień, w którym odprawią ćwiczenie dobrej śmierci.
3) w dzień, w którym wezmą udział w konferencyi Pomocników Salezyańskich.

c) **od 1° stycznia do 1° lutego:**

1) W ur. Nowego Roku — 1. stycznia.
2) W ur. ŚŚ. Trzech Króli — 6. stycznia.
3) W ur. Katedry Św. Piotra w Rzymie — 18. stycznia.
4) W ur. Najśw Imienia Jezus — 20. stycznia.
5) W ur. Zaślubienia Najśw. M. P.—23. stycznia.
6) W ur Nawrócenia św. Pawła — 25. stycznia.
7) W ur. Św. Franciszka Salezego — 29. stycznia.

b) **od 1° lutego do 1° marca:**

1) Matki Boskiej Gromnicznej. — 2. lutego.
2) Katedry św. Piotra w Antyochii.—22. lutego.

**Nadto:** Zyskać mogą zawsze, będąc w stanie łaski (bez potrzeby nawiedzenia jakiego Kościoła lub przystąpienia do Sakramentów śś.) wszystkie odpusty stacyjne w Rzymie, Porcyunkuli, Jerozolimie i św. Jakóba w Kompostelli, jeśli odmówią *5 Ojcze nasz, 5 Zdrowaś i 5 Chwała Ojcu* za pomyślność i potrzeby Kościoła i jedno *Ojcze nasz, Zdrowaś i Chwała Ojcu* wedle intencyi Ojca św.

## Książki nadesłane do Redakcyi.

**Biblioteka apologetyczna ludowa** nakładem Związku ludowego w M. Gladbach. Jeden tom zawiera 10 numerów i jest do nabycia za nader niską cenę opłatnie 70 fg — 90 hal. — 20 cents — 90 kop.

Nr. I: Czy istnieje Bóg? — Nr. II: Czy Bóg stworzył świat? — Nr. III: Biblia a nauki przyrodnicze. — Nr. IV: Czy człowiek pochodzi od małpy? — Nr. V: Czy człowiek ma duszę? — Nr. VI: O życiu pozagrobowem. — Nr. VIII: Cud. — Nr. VIII: Wolna myśl i jej wyznanie wiary. — Nr. IX: Czy Kościół katolicki jest nietolerancyjny? — Nr. X: Spowiedź.

# Misye Salezyańskie.

## CHINY.

### Pierwsze zwiedzenie stołecznego miasta w okręgu Heung-Shan.

(*List misyonarza Ks. Alojzego Versiglia*).

Makao, 24. czerwca, 1912 r.

*Najczcigodniejszy Ojcze!*

Już oddawna pragnąłem udać się do *Heung-Shan* stolicy okręgu o tejże samej nazwie, którą jednakże pospolicie zowią *Seak-Kei*. Ludność tego miasta liczy się na 150,000 z górą; jest tam również szczupła garstka chrześcijan z niewielką siedzibą. Nadarzyla się niebawem sposobność do przyspieszenia mej podróży, gdyż w miejscowości *Scong-Chan*, przy *Tau-Mun*, chrześcijanom groziło poważne niebezpieczeństwo ze strony rewolucyjnych pogan. Otrzymawszy taką wieść od jednego z chrześcijan, wyruszyłem niezwłocznie w drogę.

**Przygody w podróży — Przyjęcie wśród chrześcijan i pogan — W drodze ku Seak Kei — Ciekawość chińska.**

Wsiadłem do łódki, mającej mię zawieźć w pewien punkt, skąd odpływają większe statki ku *Seak-Kei*, lecz po kilkunastogodzinnej żegludze, przybywszy do przystani, przekonałem się, że statek już odpłynął. — Co tu począć? — Nająłem inną łódkę o wielkości łupiny orzechowej i dalejże się sadowić; byłem w towarzystwie służącego i jednego katechisty. Właściciel łódki z żoną dopełnili reszty załogi. Niewiasta kierowała sterem, jej mąż zaś trzymał w ręce żagiel — zwykłą szmatę zatkniętą na bambusowym kiju. Niebawem zapuściliśmy się w coraz to rozlewniejsze koryto rzeki, a pomyślny wietrzyk parł nami w dal z zawrotną szybkością tak, że od czasu do czasu zagrażało nam poważne niebezpieczeństwo. Łódka bowiem wzbijala się ponad fale, to znów pogrążała się w szczelinach i nurtach wodnych tak, iż trzeba było oczy mrużyć wobec grozy położenia.

,,O Jezu! — ratunku...'' wyrywało nam się instynktownie z serca. Przewoźnik natomiast, nie rozumiejąc tych wykrzykników, opuszczał swój żagiel i wołał groźnie: ,,Nie ruszać się!''

Więc też, chwytając jeden drugiego za rękę, czepialiśmy się co sił brzegu łódki i w duchu tylko błagaliśmy Boga o pomoc. Na szczęście była to burza przejściowa i lokalna, spowodowana zderzeniem się fal wietrznych w obrębie wązkiego pasu atmosferycznego.

Wpłynąwszy na spokojne wody, odetchnęliśmy z ulgą i podziękowaliśmy gorąco Panu Bogu za ocalenie. A niebezpieczeństwo takie groziło nam parę razy. Jednakże, dzięki Bogu, przewoźnik nasz nie tracił zimnej krwi, lecz, przycupnąwszy u steru, dzierżył silnie liny od żagli i z nieugiętością admiralską wydawał stanowcze rozkazy, żądając pomocy od tego czy owego z pasażerów.

Naraz ustaje burza i łódka zatrzymuje się w chwili właśnie, gdy słońce najsilniej dopiekało.

— Trzeba będzie chyba przenocować wśród rzeki — przepowiada żeglarz.

— Tam do licha! Niezbyt się nam to uśmiecha... Spędzić całą noc nieruchomie na rzece! Łatwo sobie czytelnik wyobrazi nasze niemożliwe położenie, a oprócz tego mógł nam grozić napad korsarzy. Co tu począć?

Po krótkiej naradzie, uchwalamy zmienić kierunek żeglugi. Chwyciliśmy za wiosła i zaczęliśmy spychać łódkę do wązkiego kanalu, a scena przytem niezmiernie się ożywiła. Oto przewoźnik z żoną wyskoczyli na brzeg i, przywiązawszy dwie liny do łódki, dalejże ją ciągnąć wraz z nami — szkoda jedynie, że posuwanie się naprzód uskuteczniališmy w zbyt wołowem tempie. Trudna rada! Musieliśmy przez ośm godzin z rzędu zażywać tej średniej przyjemności i gruntownie się zaznajamiać z tajemnicami żeglugi chińskiej!

Wysiadlszy z łódki, trudno było nogami ruszyć, tak nam podrętwiały. Pozostawalo nam jeszcze cztery godziny drogi pieszej. Wreszcie o 10-ej w nocy dotarliśmy do siedziby chrześcijan.

Pomimo późnej pory i gęstych mroków wieść o naszem przybyciu wlot się rozeszła. Chrześcijanie wybiegali z radością na powitanie misyonarza, podczas gdy poganie zebrali się co tchu w świątyni swych przodków, gdzie poczęli

walić w nieznośne *tam tam'* y, a na mieście rozległy się wystrzały i łoskot pękających bomb, jak się zwykło czynić na odstraszenie korsarzy.

Oczywiście mieli szczerą chętkę wyświecić mię z miasta; chrześcijanie wobec tego jęli się mocno niepokoić, lecz, spostrzegłszy moją zimną krew i niczem niezamącony spokój, ochłonęli z obawy. Było trochę śmiechu z tego powodu, poczem dano wieczerzę i udaliśmy się na spoczynek.

Nazajutrz, zbadawszy położenie, postanowiłem wznowić dalszą żeglugę i przedstawić formalne zaskarżenie mandarynowi stolicy — zatem jazda do *Seak-Kei* (Heung-Shan).

Podróż — rzecz prosta — jeśli nie pieszo, odbywa się tutaj łódką.

Na ten raz atoli nie mamy do czynienia z żaglami, z wiosłem, z liną; cywilizacya tu jeździ na kołach, to też i łódkę naszą poruszało dość zamaszyste koło, ożywiane przez ośmiu ludzi, co je przygniatali. Nie brakło również wykwintnych wygód nowoczesnego komfortu, jak: łóżek, sal jadalnych, pokojów do palenia i t. d.

Doprawdy?

Niewątpliwie! Łódź o wysokości trzech metrów dzieliła się na trzy piętra: spodem leżały towary, a w dwóch górnych rozmieszczono pasażerów według płci. Prosięta, kury i niezliczona moc gęsi, jako istoty uprzywilejowane, zajęły miejsce na pokładzie.

Tu więc podróżny rozmieszcza się w odpowiednim przedziale, wybiera sobie miejsce wygodniejsze, zaściela je słomianką i kładzie się jak we własnym gabinecie. Ma prawo jeść, palić, grać, może sobie zdjąć obuwie, surdut i td. nie poczuwając się bynajmniej do rzucania towarzyszom utartych formułek: pardon! za pozwoleniem! Wolność tedy niczem nie krępowana — nikogo tu oryginalnością nie zdziwisz. Czyż to nie największa z wygód? Może lepsza nasza etykieta pełna towarzyskich ustępstw, zobowiązań?

Toteż, wynalazłszy swój kącik, rozłożyłem się jak mogłem. Było to o siódmej z rana. Skorom się tylko ukazał na łodzi, poczęto mię obrzucać spojrzeniami, stałem się dziwowiskiem nielada.

Podchodzi niebawem ku mnie jakiś Chińczyk i, uderzony rozmiarami mego nosa, oraz gęstą brodą, wszczyna wymianę zdań.

— Dlaczego wy, europejczycy, niepoczciwe stworzenia, macie taki długi nos?

— A dlaczego wy, Chińczycy, stworzenia niepoczciwe, macie nos taki krótki?

Odpowiedź moja zmusza go do zastanowienia się nad potrzebą staranniejszego wyboru tytułów przy rozmowie towarzyskiej, wskutek czego używa później wyrażenia: *Panie cudzoziemcze!*

Wszakże odpowiedź moja, a raczej pytanie, wprowadziło w kłopot i osłupienie całe to przygodne towarzystwo i zdawało się, że krótki nos każdego z mych sąsiadów urósł przynajmniej o jaką kwintę. Po chwili rzeczonego zakłopotania zaczynam z powagą:

— Rzecz się ma tak! Obyczajem europejskim, gdy jesteśmy jeszcze dziećmi, to mama nas nosi na rękach i, w dowód swej miłości, pociągnie nas niekiedy za nos — ot i nos rośnie! Was zaś w maleńkości sadowi mama w koszu za plecami: gdy się mama ruszy, to wy ją zaraz nosem w kark, a nos się spłaszcza i potem jest krótki.

Jeżeli pierwsza moja odpowiedź narobiła im niemało kłopotu, to powyższe objaśnienie wprowadziło ich wprost w zdumienie — wybałuszyli oczy, pootwierali usta...

— Oto cudzoziemiec, odzywa się któryś, co jest mądrzejszy od nas!

— Ktoby to był pomyślał!...

Zaciekawienie ogólne wzrasta i od nosa przechodzą do brody.

— A dlaczego pan masz taką długą i gęstą brodę, podczas gdy nam prawie wcale nie rośnie?

Zwlekam nieco z odpowiedzią, a następnie tonem Sokratesa pytam:

— Jaką potrawę ty zwykle i najchętniej jadasz?

— Mięso wieprzowe.

— Doskonale; a wiesz, jaką potrawę jadamy zwykle i najchętniej my?

— Jaką?

— Mięso wołowe...

— No i co z tego?

— Jakto, nie rozumiesz? Wół czy krowa ma wiele włosów czyli szerści, a stąd rośnie nam broda; nierogate zaś stworzenia mają rzadką szczecinę, przeto broda wam rośnie rzadka i niepoczesna.

— Patrzcie go! Nie przypuszczałem, żeby twoja mądrość była taka głęboka... widocznie uczyłeś się z wielu książek naraz...

— Ho! ho! Żebyś ty wiedział z ilu książek ja się uczyłem! Mógłbym niemi krowę obładować, nie licząc już tych, które mi zjadła...

— A umiesz — mój panie — czytać po chińsku?

— Z pewnością! I nie czekając aż mi podadzą jaką książkę, wydobywam z kieszeni katechizm chiński, jedyną w tym języku książkę, jaką potrafię czytać, no i czytam w głos z całą godnością.

Wobec tego faktu podziwienie ich przekracza wszelkie granice.

— Czyż podobna, żeby cudzoziemiec znał nasze litery? To chyba czary jakieś!...

Oto w streszczeniu pojęcia chińskie. Nikt z cudzoziemców nie jest zdolny przewyższyć Chińczyków w wiedzy; a najwyższa wiedza

według nich polega na umiejętności czytania chińskiego pisma.

— Za pozwoleniem — ciągnie dalej mój łaskawy rozmówca: czy pan rozumiesz także to co czytasz?

Niech się nie wydaje czytelnikowi dziwnem to zapytanie. Chińczyk przez pięć lat wyuczy się po papuziemu pewnej ilości liter, nie troszcząc się wcale o ich znaczenie. Następnie zaś, jeśli chce prowadzić dalej swe wykształcenie i ma fundusze na opłatę nauczyciela, uzupełnia nabyte wiadomości i uczy się znaczenia liter. — Tymczasem nadarza mi się wyborna sposobność pomówienia nieco o religii: zaczynam więc objaśniać katechizm. Słuchają mię z zapartym oddechem, uderzeni nowością... a owoc? *Neque qui plantat, neque qui rigat*... Siejmy słowo Boże, gruntujmy je i zraszajmy, a Niebieski gospodarz winnicy nie omieszka zesłać w porę obfitych owoców..... Z Chińczykiem należy postępować powoli, stopniowo. Może za cztery lub pięć lat pomyśli uważnie o rzeczach zasłyszanych od misyonarza i pobiegnie go szukać, by poznać i uwierzyć w to, czego teraz słucha z prostej jedynie ciekawości. Zapewnia nas o tem długoletnie doświadczenie misyonarzy.

**Przybycie do Seak-Kei — Wizyta u mandaryna — Alarmujące okrzyki — Wtargnięcie rewolucyonistów — Skutki rewolucyi.**

Przy podobnych rozmowach, na wypoczynku lub gromadzeniu notatek czas mija dość znośnie i o 9-tej wieczorem dopływam do *Seak-Kei*.

Kieruję niezwłocznie swe kroki do misyjnego domku, gdzie katechista, zdumiony na mój widok, po krótkiem przywitaniu woła:

— Ojcze! jakżeś się ośmielił tu przybyć?

— No, bo co?

— A czy Ojciec nie wie, iż cały kraj przepełniony korsarzami, a republikanie nadciągną lada chwila celem zdobycia miasta?

— To doskonale! Ja też w tym celu przybywam. Jakkolwiek przedsięwzięcie moje będzie nieco trudniejsze i nie mam nadziei co do rychłego osiągnięcia skutku.

— To prawda, odrzekł z uśmiechem i zakręcił się około wieczerzy. Spożywszy dary Boże, trzeba było iść spać.

Następnego ranka nająłem lektykę i kazałem się zanieść do mandaryna; miałem przy sobie trzech towarzyszy również w lektykach. Mandaryn okazał się wysoce grzecznym, naczynił mi wiele pięknych obietnic, w których spełnienie sam pewnie nie wierzył, albowiem zewsząd napływały wieści trwożne i zagmatwane o niechybnej rewolucyi.

— Już zdobyli *Son-tak*.

— Za chwilę przekroczą granice *Heung-Shan'u*.

— Mają przypuścić szturm do *Siu Lam*.

— Już go zdobyli.

Inni natomiast:

Nie! To nie rewolucyoniści, to są korsarze przebrani; *Siu Lam* został obsaczony przez 400 korsarzy, którzy ograbili sklepy co bogatsze, porwali wiele niewiast, dzieci... Teraz kierują się na *Seak-Kei*...

— Przyjdą niewątpliwie tej nocy...

— Albo jutro z samego rana!...

Wieści te i tym podobne powtarzano na wszystkie tony, a przytem zmyślań, przesady co niemiara. Nic dziwnego, że groza, przerażenie rosły jak na drożdżach. Za najmniejszym szmerem, co się wydaje podejrzanym, słychać, jak zamykają bramy, lub się tłoczą do barykad wylęknieni mieszkańcy.

Szczegóły alarmujące niecą wprost panikę: widać oto, jak szczupła załoga miejska występuje w pełnym rynsztunku; co chwila przemknie się po ulicach oddział jazdy, jakby w pogoni za nieprzyjacielem; przystań opustoszała, gdyż nie ujrzysz ani jednego z parowców, nadpływających przedtem prawie co godzina z *Hong-Kong*, z *Makao*, z *Kantonu* i z *Kong-Mun*.

Zatem jak najdziwaczniejsze przypuszczenia. Rzecz się miała tak, iż statki one zostały przemocą wynajęte przez rewolucyonistów na przewożenie wojska.

Wielu chrześcijan kupiło się w przerażeniu do domu misyjnego; prawda, że wyczekiwali z nadzieją rewolucyonistów, lecz obawiali się, by to nie byli korsarze, o których krążyły niezbyt pochlebne pogłoski.

By ich uspokoić, polegając na obietnicach mandaryna, posłałem doń z prośbą o jaki oddział żołnierzy — przysłał mi go niezwłocznie. Dziesięciu żołnierzy stanęło więc na warcie przy naszym domu, co podniosło nieco ducha w bojaźnią zdjętej garstce wiernych.

Często w ciągu dnia dawały się słyszeć alarmujące okrzyki, które powstawały z byle jakiego powodu; przerażenie rosło, a z nadejściem nocy mało kto udał się na spoczynek.

Nazajutrz wieści coraz to sprzeczniejsze.

— Nadpływają korsarze! Chcą spalić miasto!

— Nie, to rewolucyoniści!

— Niebawem przepłyną rzekę! Jest ich 400!

— Sześćset!

— Więcej, niż tysiąc!

I rzeczywiście w parę chwil rozległy się wystrzały. Oddział rewolucyonistów naprawdę przybył.

Skoncentrowali się najpierw w *Son-tak* na południe od *Kantonu*, gdzie musieli staczać poważne potyczki z wojskami rządowymi; następnie skierowali się ku *Heung-Shan*; zaatakowawszy miasto *Sin-Lam* na północy, odstąpili ku *Nam-*

*long* i niżej, aż do *Seak-Kei*, a teraz właśnie chcą wtargnąć do stolicy i już zdobyli zachodnią bramę.

Żołnierze strzegący tej bramy usiłowali założyć *veto* i oprzeć się zdobywcom, lecz ci salwą karabinową położyli kilku trupem, reszta zaś uciekła w popłochu. Na szczęście były to jedyne ofiary w owym dniu.

Mandaryn wojskowy starał się zgromadzić swój oddział i uderzyć na rewolucyonistów, lecz żołnierze podnieśli rokosz i, wymyślając, złorzecząc z wielkim animuszem, przystali wszyscy do rewolucyonistów. Zrozpaczony mandaryn musiał się schować, by ocalić życie.

Po zdobyciu więc bramy zachodniej rewolucyoniści wbiegli do miasta, kierując się właśnie ku naszej misyi.

Wskutek uprzednich niepewnych i sprzecznych wieści panowała w mieście powszechna nieufność względem uzbrojonych przybyszów; bo kto tam wie, z jakiemi oni tu intencyami zawitali. Toteż na odgłos pierwszych wystrzałów, nie ujrzałbyś w mieście żywej duszy — każdy co tchu zatarasowywał się po domach.

Wielu chrześcijan po wysłuchaniu Mszy św. nie śmiało wracać do domu. Otoczyli mię z niepokojem, a niektórzy, upadłszy na kolana, wołali:

— Ojcze! Zginęliśmy — ratuj nas!

Jeśliśmy w czem zawinili, to nas ukarz, lecz nie odmawiaj nam swej pomocy.

A obawa ich niebywale wzrosła, gdy spostrzegli, jak oddział żołnierzy, pilnujących naszego domu, puścił się w rozsypkę.

Pocieszałem biedaków jak mogłem, a w końcu wysłałem ich do kaplicy na modlitwę, gdzie jeden z nich rozpoczął odmawiać litanię do WW. Świętych, inni zaś odpowiadali mu chórem z głęboką pobożnością.

Ja tymczasem stanąłem sobie przy bramie i patrzę: co też to wyniknie z tej awantury?

Byłem zresztą jak najlepszej myśli — przecież nas ze skóry nie obedrą...

Rzeczywiście nadciągnął niebawem jakiś zbrojny obywatel, wysłany przez rewolucyonistów i w te słowa się odezwał:

— Nie bójcie się dobrzy ludzie — jesteśmy wam braćmi; przybywamy właśnie wybawić was z tyluwiekowego jarzma! Odwagi! Jutro ryż stanieje, drzewo stanieje, sprawiedliwość będzie wymierzana według prawa, a złoczyńców i wszelkiego rodzaju drapichrustów ukarzemy surowo. Śmiało obywatele! Za broń! Ognia!

Okrzyki te wywołały skutek czarodziejski. Herold przechodził ulicami z pożądaną wieścią, a w tem jak na komendę otwierały się bramy domów i ludność tłumnie zapełniała puste dotychczas miasto. Kupowano broń, rozwijano sztandary i zewsząd grzmiały oklaski na widok kroczących tryumfalnie rewolucyonistów.

Bo proszę sobie wyobrazić tych panów.

Byli z warkoczami i bez warkoczy; głowy widziałeś przybrane w kapelusze filcowe lub słomiane, w czapeczki, w kaszkiety, albo też zupełnie odkryte. Musiałem parsknąć śmiechem, gdym spostrzegł jednego w księżym birecie. Zapewne widział gdzieś europejczyka (ma się rozumieć księdza) w podobnym stroju no i pomyślał sobie: a to w sam raz dla mnie — cywilizacyjna moja oglada podskoczy natychmiast o jaki stopień wyżej!... A przecież u nas w Europie biret księży uchodzi za znamię obskurantyzmu...

Nie brakło i takich, co szerokie workowate pantalony przykryli dyskretnie wąziutkim, o jaskółczym kroju fraczkiem. W ich rozumieniu byle fraszka z paryskich żurnalów oznaczała już cywilizacyę. O broni lepiej chyba nie mówić: zdawało się, iż obrabowali jakie bogate muzeum — tyle tam lśniło najromaitszych i najrzadszych tejże okazów.

Oficerowie atoli uderzali postawą naprawdę marsową, gdyż kształcili się przeważnie za granicą. Większość ich to jeszcze młodzieńcy; odzież mieli afrykańską z lekkiego płótna, obszytą naokół złotymi galonami, a czapkę w kształcie hełmu. Za wierzchowców służyły im osły albo konie, ciągnione każdy przez dwóch giermków.

Zachowanie się ich jednakże było naccchowane lękiem, niedowierzaniem. Ręce wznieśli do góry, a w każdej trzymali nabity rewolwer, gotowi do wystrzału za najmniejszem poruszeniem.

W ślad za rewolucyonistami postępował oddział żołnierzy mandaryna z białą wstążką na mundurze — odznaką rewolucyi.

Chrześcijanie również się uspokoili, poszli odwiedzić swe domy i chcieli, żebym też i ja nakupił nabojów.

— Nie! odrzekłem — to nie należy do mnie...

— Ależ Ojcze, tak kazano; w przeciwnym razie kara śmierci, lub konfiskata...

— Nie! stanowczo nie.

Rewolucyoniści tymczasem okrążyli miasto, przyjmowani na każdym kroku z owacyą i hucznemi salwami.

W godzinę później dom nasz został otoczony przez oddział dwudziestu żołnierzy.

Przybiegło kilku chrześcijan i dalejże w lament:

— Widzisz, Ojcze — mówiliśmy ci!...

Nie chciałeś pozwolić na salwy, a teraz żołnierze przychodzą się zemścić.

— Ano, zobaczymy. Poszedłem rozmówić się z kapralem. Ten ukłonił mi się z szacunkiem i oświadczył, że dowódca rozkazał mu pilno-

wać naszej misyi, dopóki w mieście nie nastanie zupełny spokój.

Pośmialiśmy się nieco ze strachu chrześcijan, lecz biedacy ci zasługują na współczucie, gdyż w Chinach przy podobnych okolicznościach wszystkiego się można oczekiwać. Za okazaną przysługę posłałem bezzwłocznie do dowódcy należne podziękowanie.

Nawet mandaryn wojskowy spotkał się z życzliwością. Gdy bowiem po wyszukaniu został zaprowadzony do dowódcy, otrzymał od tegoż ułaskawienie, lecz musiał krzyczeć: *Niech żyje Rewolucya!* A jakież były skutki zmiany rządu?

Jedyny może dotychczas to obcinanie warkoczy. Tego samego dnia wyszedł dekret nakazujący pozbycie się warkocza: toteż każdy sklep zamienił się na fryzyernię — nożyczki, brzytwy, noże były w robocie i to nie lada jakiej.

A wynikająca stąd toaleta, lub lepiej wygląd powierzchowny obywateli, graniczyła z klasyczną, niedoścignioną śmiesznością. Jednemu zgolono głowę, że świeciła jak karmelicka bania, drugi kazał sobie zostawić kosmyk włosów na samym szczycie cennej siedziby mózgu, u innego znów powiewała tylko fantazyjna grzywka nad czołem, lub gdzieś w okolicy uszu, niby pejsy żydowskie. Pomijamy artystyczne ufryzowanie — o tem ani mowy; widziałeś tylko schodki, jako pozostałość po zatępionych nożyczkach.

Ale nie dość na tem. Rząd rewolucyjny, by zapewnić sobie lepszy posłuch dla pierwszego dekretu (a wszakże początki są zwykle we wszystkiem najdonioślejsze....) porozsyłał oddziały żołnierzy do przystani i do bram miejskich z następującym rozkazem:

— Ktokolwiek wchodzi do miasta, lub też zeń wychodzi, nie dokonawszy uprzednio uroczystej ceremonii postrzyżyn, winien się bezwarunkowo poddać doraźnej w tym względzie operacyi. — Nie pomogły żadne protesty drakońskiem zaskoczonego prawem. Co najwyżej zwracano ogołoconemu z warkocza ten niepoczesny dodatek ze słowami: Masz, to twoje!

I biedaczysko, nie chcąc być do reszty poszkodowanym, brał co mu się należało, a zmykał w swoją stronę, gdyż w przeciwnym razie czekały go śmiechy i szyderstwa.

Spokój atoli nie potrwał zbyt długo — został bowiem nowym wypadkiem zakłócony. Rezydujący w Kantonie rządca prowincyi, widząc, że w mieście panuje porządek, przysłał swego przedstawiciela celem objęcia władzy.

Dowódca rewolucyonistów oparł się temu, wyłuszczając przysługujące sobie prawa, jako zdobywcy miasta. Żołnierze podzielili się na dwa przeciwne obozy i od gróźb i złorzeczeń przyszło do walnej bitwy. Potworzyły się w mieście barykady, nastała gonitwa, szał, strzelanina. Miejsca do bitwy brakło, bo ulice wązkie; a że domy tu przeważnie drewniane, więc kule bez pardonu przeszywały okna, ściany, czyniąc wiele ofiar w ludziach. My w domu misyjnym słuchaliśmy z przerażeniem wystrzałów. Walka trwała od szóstej z rana do piątej wieczorem, a jęki ranionych krew nam ścinały w żyłach. Wreszcie partya rządowa odniosła zwycięstwo; rewolucyoniści albo poszli do niewoli albo też pouciekali — wielu stracono przez rozstrzelanie. Dowódca ich rzucił się do ucieczki, lecz został dopadnięty i żywcem poćwiartowany. Wyjęto mu serce i, zatknąwszy na dzidę, obnoszono je z tryumfem po ulicach. Ot na co mu się przydało zwycięskie niedawno zdobycie miasta!

**Pociechy Misyonarza — Chrzest dwojga dziewcząt — Wzruszający wypadek — Jeszcze jeden chrzest.**

Wobec takich zamieszek musiałem przyznać, iż daremnem było moje tam przybycie. Ani myśleć bowiem o ewangelizacyi w podobnych chwilach! Umysły zanadto były wzburzone. Jednakże obecność moja wśród tamtejszych chrześcijan okazała się zbawienną już to, że nabrali więcej odwagi, już też dlatego, że podtrzymaliśmy społem honor naszego świętego znamienia.

— Oto nasz Ojciec nie uląkł się niebezpieczeństwa — przyszedł dzielić z nami złe i dobre losy — tak przemawiają chrześcijanie do zwolenników różnych sekt; wasi zaś ministrowie cóż takiego uczynili? — ani jeden się nie pokazał...

Słowa te sprawiły dobre wrażenie nawet wśród pogan. Nie brakło i innych korzyści. Zdołałem bowiem zgromadzić wszystkich katechistów, należących do misyi i wyrazić im moje życzenia względem ewangelizacyi miasta i okolicy. Wydali mi się jak najlepszemi ożywieni chęciami.

Z pociechą też serca pozyskałem kilka dusz dla Chrystusa.

A najprzód uporządkowałem sprawy w pewnej rodzinie. Z dwojga małżonków tylko mąż był chrześcijaninem — żona zaś i dwie dziewczynki żyły bez chrztu, gdyż ojciec z powodu nędzy chciał je sprzedać frymarczącemu żywym towarem handlarzowi.

Przerażony atoli wypadkami ostatnich dni, zjednany moją przychylnością i skromnym datkiem pieniężnym, przystał na ochrzcenie córeczek i na zerwanie zawartej względem ich sprzedaży umowy. Młodszej było cztery lata, starszej osiem. Również i matka zgodziła się zostać chrześcijanką — obecnie przyswaja sobie katechizm.

Sprzedaż córek jest — niestety — bardzo rozpowszechnioną w Chinach, a dopuszczają się

jej także i chrześcijańscy ojcowie. Wiara w ich sercu niezbyt jeszcze silne zapuściła korzenie, toteż w nędzy nie umieją oprzeć się konieczności. Niedawno właśnie byłem świadkiem wzruszającego zdarzenia. Przyszły do mnie dwie biedne dziewczyny, siostry — jedna zaledwie dwunastoletnia, drugiej było lat piętnaście. Umiały doskonale katechizm, lecz nie były ochrzcone, gdyż chrześcijańscy rodzice sprzedali je zawczasu handlarzom. Nieszczęśliwe ofiary pojmowały wyraźnie swą smutną dolę... wybuchnęły tedy rzewnym płaczem i błagały mię o wykupienie. ,,Ojcze, ochrzcisz nas, umieścisz gdzie zechcesz; — będziemy dobremi chrześcijankami, tylko wyrwij nas z tego piekielnego domu w którym teraz jesteśmy!"

Za każdą należałoby zapłacić 200 dolarów (500 franków), a misyonarz — niestety — nie zawsze może rozporządzić takim funduszem.

Pocieszyłem je nadzieją i obiecałem uczynić co będzie w mojej sile; powróciły do swej smutnej nory z płaczem, lecz zarazem z iskierką otuchy w sercu.

Oby Bóg natchnąć raczył jaką szlachetną osobę do pośpieszenia z pomocą tym i tylu innym nieszczęliwym istotom!...

Trafił mi się też wypadek nader ciekawy i pocieszający. Jakto zwykle bywa, wśród podobnych zamieszek znajdują się łatwo amatorowie cudzej własności i urządzają sobie nocne napady tudzież grabieże.

Pewnej nocy siedmiu rzezimieszków napadło na sąsiadujący z naszym domem sklep, sądząc, że zdobycz łatwo im się uda.

Lecz się zawiedli; personał sklepowy czuwał dobrze uzbrojony — padły strzały i jeden z rabusiów legł trupem na miejscu, inni zostali poranieni. Jeden z rannych, chłopak jeszcze młody, zawlókł się na poblizkie pole i został tam bezwładny aż do rana. Na wieść o tem pobiegłem co predzej, by go jako uratować — wraz ze mną podążył katechista. Mówię tedy blizkiemu śmierci młodzianowi, że Pan Bóg skarał go tem nieszczęściem za jego zły uczynek; lecz tu jeszcze nie koniec — po śmierci oczekuje go nieskończenie gorsza, bo wieczna kara w piekle, jeśli nie wzbudzi serdecznego żalu i nie przebłaga obrażonego Boga.

Nieszczęśliwiec osłupiał z przerażenia, wreszcie wybuchnął głośnym płaczem i zawołał:

— Wiem, że źle uczyniłem, ale cóż teraz mam począć?

— Bóg poruszył go swą miłosierną łaską — widocznie dozwolił mu sposobności do nawrócenia się.

Pouczyłem go w krótkości o najważniejszych prawdach naszej Wiary św. i udzieliłem mu Chrztu św. Niebawem, gdyśmy go przenosili do szpitala, wydał ostatnie tchnienie ten złodziej za życia i złodziej w chwili śmierci — za życia sięgał po cudzą własność, przy śmierci zaś sięgnął po Niebo!...

Oto, najukochańszy Ojcze, przygody, jakie towarzyszyły pierwszej mojej wycieczce do stolicy *Heung-Shan'u*.

Wracałem tam już parokrotnie i ochrzciłem wielu dorosłych; jest oprócz tego spora liczba katechumenów, a między nimi nauczyciel domowy znaczniejszych rodzin w mieście.

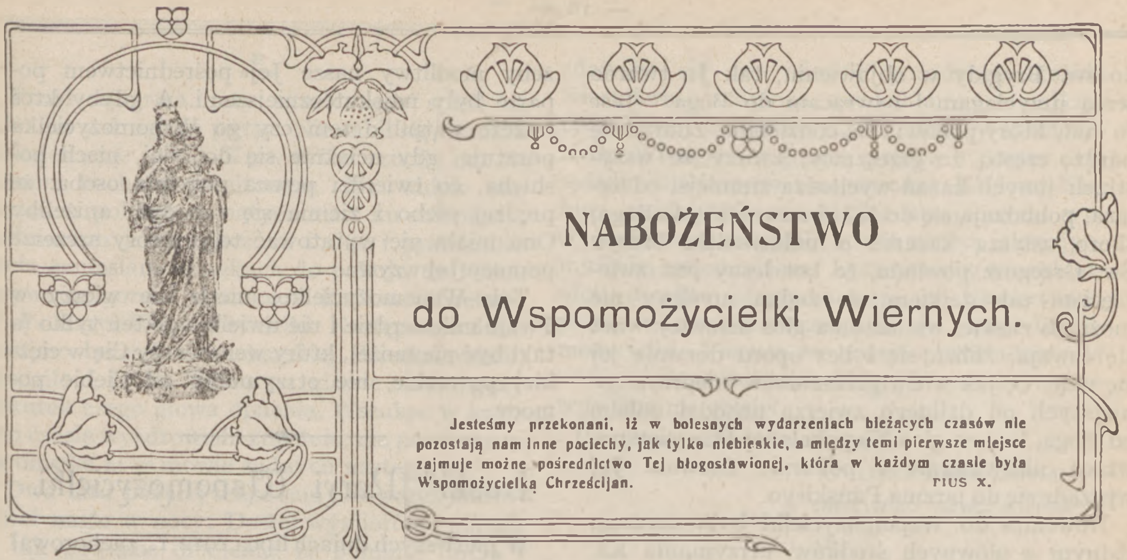
Więc za łaską Bożą oczekuje nas tu niezawodnie obfite żniwo. Ileż dobrego moglibyśmy tutaj uczynić, gdyby się dało wznieść jaki zakład! Jak wielce pożądanem byłoby grono zakonnic celem wychowywania dziewcząt i zaprawiania ich do najrozmaitszych kierunków pracy kobiecej!... Protestanci oddawna już się tu rozgościli i znajdują zwolenników, gdyż środków pieniężnych im nie brak...

Niech Ojciec ogłosi ten list ku wiadomości naszym szlachetnym Dobrodziejom Pomocnikom, by nas raczyli i nadal wspierać tak materyalnie przez datki pieniężne, jako też i duchowo za pomocą gorącej modlitwy.

*Najoddańszy w J. Chr. Syn*
Ks. Alojzy Versiglia
*Misyonarz Salezyański.*

## ! Baczność !

Zwracamy uwagę wszystkich naszych Czytelników na następujące oświadczenia: 1° Wydawnictwo **„Wiadomości Salezyańskich"** jest własnością **Spółki Anonimowej Międzynarodowej Dobrej Prasy (S. A. I. D. Buona Stampa)**, która ustąpiła p. Eugeniuszowi Pozzi'emu część (okładki) swych praw ogłoszeniowych. — 2° **Ani Redakcya**, ani Direkcya **„Wiad. Sal."** w żaden sposób nie odpowiadają za ogłoszenia nie dotyczące samych **Wiad.** lub Zgrom. **Sal.**, chociaż, w interesie własnego czasopisma czuwać zawsze będą, by nic nieodpowiedniego powadze tegoż w nim nie ogłaszano.




Jesteśmy przekonani, iż w bolesnych wydarzeniach bieżących czasów nie pozostają nam inne pociechy, jak tylko niebieskie, a między temi pierwsze miejsce zajmuje możne pośrednictwo Tej błogosławionej, która w każdym czasie była Wspomożycielką Chrześcijan. PIUS X.

## NOWENNA DO MARYI WSPOMOŻYCIELKI.

Słudzy Maryi pilnie i gorliwie starają się odbywać *Nowenny*, to jest pewne nabożeństwa dziewięciodniowe przed każdą z Jej uroczystości, a za to Najśw. Panna wielką się im odpłaca łaskawością, darząc ich łaskami bez liczby i szczególnymi względami. Do takich nabożeństw należy również nowenna do Wspomożycielki, której uroczystość obchodzi Kościół św. corocznie dnia 24. maja.

*Założycielem* nowenny do Wspomożycielki był Sługa Boży Czcig. Ks. Jan Bosko, gorliwymi zaś jej krzewicielami jego synowie XX. Salezyanie.

Już w bohaterskich czasach jego oratoryum na Valdocco w Turynie, a głównie w czasie budowy świątyni Wspomożycielki, zbiegali się do Ks. Bosko zewsząd uciśnieni i strapieni, prześladowani, zrujnowani na majątku i potrzebujący karyery czy urzędu, nieuleczalni chorzy na duszy i na ciele i. t. d. prosząc go o litość, o radę i o ratunek. A Ks. Bosko zwracając załzawione swe oczy ku niebu, wskazywał im tam zawsze na jedną istotę ze stworzeń najświętszą i najdoskonalszą, najmiłosierniejszą i najłaskawszą — na Maryę Wspomożycielkę Wiernych i polecał odprawiać do Niej nowennę. Wiedział bowiem, iż N. P. Marya dlatego tylko chce być w dzisiejszych czasach czczoną pod wezwaniem Wspomożycielki Wiernych, że pragnie w sposób szczególny nieść pomoc i ratunek swym dzieciom, że pragnie wspomagać tych, co Jej pod tym wzywają tytułem. Św. Bonawentura rozważając nad tem, jak ta błogosławiona Dziewica, przez wzgląd na nas nędzarzy, wyniesioną została do godności macierzyństwa Bożego, — jak Jej prócz tego powierzonem zostało rozdawnictwo łask wszelkich i jak dalece troszczy się Ona o wszystkich nieszczęśliwych wzywających Jej ratunku, powiada, że wpatrując się w Maryę, nie widzimy już sprawiedliwości Boskiej, lecz tylko zewsząd promieniejące miłosierdzie. Łaskawość więc i dobroć Królowej naszej Wspomożycielki do tego dochodzi stopnia, że gdy grzesznik wzywa Jej pomocy, Ona nie wdaje się wcale w roztrząsanie zasług — nie pyta czy godzien on czy nie godzien wysłuchania, lecz wnet zadość czyni zaniesionej prośbie i każdego uciekającego się do Niej ratuje. Mówią o tem niezliczone srebrne i złote wota, porozwieszane po ścianach świątyni Wspomożycielki w Turynie, mówią widzialne tam obrazy, nieszczęśliwe przedstawiające wypadki, mówią wreszcie porzucone przez kaleki kule.

Lecz prócz gorliwie odprawionej nowenny wskazywał Ks. Bosko równocześnie i na spowiedź. Jego hasło „Da mihi animas, coetera tolle (1)" wytrysłe, rzec można, z Niepokalanego Serca Maryi, w konfesyonale się właśnie skupiało, w konfesyonale przechodziło w czyn i w nim zbierało przeważną część owocu. Wszak cóż pomoże człowiekowi, choćby nie tylko zdrowie, majątek i sławę odzyskał ale i cały zdobył świat, jeśli dusza jego odwrócona jest od Boga, jeśli w sercu jego gnieżdżą się szatani?..... Dlatego Wspomożycielka zawsze uwieńcza swe łaski nowenną spraszane, zbliżeniem duszy do Boga. Bo w istocie, głównem posłannictwem Maryi, jakiem Ona obdarzoną została odkąd na świat przyszła, było ratowanie dusz odpadłych od łaski i pojednanie ich z Bogiem. Słusznie przeto nazwała się sama Magnesem za pomocą którego dusze bywają przyciągane i nawracane do Boga: „Jak magnes przyciąga żelazo, mówiła Marya

(1) Daj mi dusze, resztę zabierz.

do św. Brygidy w objawieniu, tak Ja twarde serca przyciągam i nawracam do Boga." Jest to cud, który ponawia się codziennie. Zdarza się bardzo często, że grzesznicy, którzy ze wszystkich innych kazań wychodzą zimniejsi od żelaza, pobudzają się do żalu i nawracają do Boga, skoro usłyszą kazanie o miłosierdziu Maryi. Św. Grzegorz powiada, że kot leśny jest zwierzęciem tak dzikiem, że żaden myśliwy nie może go złowić, wszakże na głos dziewicy wnet się oswaja, zbliża się i bez oporu dozwala jej się ująć. O, jak wielu grzeszników nieprzystępniejszych od dzikiego zwierza uchodzi daleko od Boga, lecz na głos Niepokalanej Dziewicy powraca niezwłocznie i pokornie dozwala Jej wprządz się do jarzma Pańskiego.

Nowenna do Wspomożycielki była zarazem jednym z głównych środków utrzymania Ks. Bosko i jego dzieła. Ileż to razy nowenna odmówiona w intencyi bogatej jakiej rodziny, nad którą zawisł anioł śmierci z wymierzonym do straszliwego ciosu mieczem, nie wydobyła go z poważnych często kłopotów finansowych?..... Rzec można, że każda cegiełka świątyni Wspomożycielki w Turynie, jest darem za odebrane łaski.

*Obecnie* zaś, kiedy Ks. Bosko cieszy się już wieczną w niebie szczęśliwością, kiedy Zgromadzenie przez niego założone obie objęło półkule, kiedy zakłady XX. Salezyanów na setki się liczy, nowenna do Wspomożycielki przedarła się z Włoch do wszystkich krajów i narodów, wnikła niejako w ich rdzeń i stała się wyrazem ich potrzeby. Dostrzegamy ją silnie już zakorzenioną i w naszej ziemi.

Tam w Oświęcimskiej świątyni Wspomożycielki, przed cudownym Jej klęcząc obrazem, wszyscy wychowankowie tuż po mszy św. i Komunii, chórem odmawiają do Wspomożycielki nowennę ułożoną przez Ks. Bosko, spraszając zdroje łask dla tych, co o nią proszą tamtejszych XX. Salezyanów. I łaski te przychodzą niezawodnie i jak rosa poranna spadają na zbolałe serca, koją ich rany, wspomagają. Ilu nieuleczalnie chorych na duszy lub ciele uzdrowiła Oświęcimska Wspomożycielka, ile łez otarła, niech poświadczą o tem polskie *Wiadomości Salezyańskie* — niech poświadczą ci, co znaleźli u stóp tej najmiłosierniejszej Królowej naszej ukojenie, spokój i szczęście — niech poświadczą wreszcie owe wota złożone na ręce tamtejszych XX. Dyrektorów. Zresztą zwróćmy uwagę na to, co powiada Nicefor: „O wiele rzeczy, pisze on, prosi się Boga i nie otrzymuje się tego; prosi się o toż samo Maryę i otrzymuje się. Jakże się to dzieje? Dzieje się to wcale nie dlatego, żeby Marya była potężniejszą od Boga; lecz że spodobało się Bogu tak dalece Ją uczcić, żeby modlitwy nasze Jej pośrednictwem poparte były najskuteczniejszemi. A gdyby ktoś jeszcze wątpił o tem czy go Wspomożycielka poratuje, gdy ucieknie się do Niej, niech posłucha, co twierdzi pewna pobożna osoba: że prędzej niebo i ziemia się zapadną, aniżeliby Ona miała nie wyratować tego, który szczerze pomocy Jej wzywa.

Tak Wspomożycielko, niech nie wierzy w Twoje miłosierdzie i nie uwielbia go ten tylko (a taki być nie może), który wezwawszy Cię w ciężkiej potrzebie, nie otrzymałby od Ciebie pomocy.

---

# Łaski Maryi Wspomożycielki.

W pierwszych dniach lipca 1912 r., zachorował nam czteroletni siostrzeniec na nogę. Choroba była ciężka i nieuleczalna, bo żadne nie pomagały środki. Tymczasem noga coraz bardziej puchła i bolała do tego stopnia, że na rękach musieliśmy chłopczynę przenosić! Tak trwało przez 3 miesiące. Nie widząc żadnego ratunku w ludzkich środkach, zwróciliśmy się do XX. Salezyanów w Oświęcimiu z prośbą o odprawienie nowenny do N. P. Maryi Wspomożycielki w intencyi chorego; przyłączyliśmy też skromną ofiarę na cele Salezyańskie. I oto ku naszemu zdziwieniu po kilku dniach wystąpiła róża. Zabraliśmy się więc do niej natychmiast, wskutek czego spuchnięta noga zaczęłą opadać, a chłopczyk przychodzić do zdrowia.

Skomielna Czarna, 1. listopada 1912.

POLAK WŁADYSŁAW.

*
* *

W pierwszym półroczu 1912 r. syn nasz ze Zgromadzenia XX. Salezyanów w Radnej, doniósł nam, że zachorował na ślepą kiszkę i że miała nastąpić wedle orzeczeń lekarskich, operacya. Na wieść o tem strasznem nieszczęściu udaliśmy się o pomoc w modlitwie do N. P. Maryi Wspomożycielki, zamawiając nowennę u XX. Salezyanów w Oświęcimiu i mszę św. w Radnej i przyrzekając publicznie podziękować we „*Wiadomościach*," jeśli syn wyzdrowieje. I oto operacya udała się szczęśliwie, a syn wyzdrowiał zupełnie i może dalej oddawać się własnym obowiązkom.

Wywiązując się przeto z danego przyrzeczenia, posyłamy skromny datek na zakład w Oświęcimiu i całem sercem dziękujemy N. P. Maryi Wspomożycielce za wysłuchanie próśb, jakoteż za ocalenie nas od strasznego nieszczęścia, które nam groziło.

Brzeszcze, 6. listopada 1912.

SENKOWSCY WALENTY i ANNA.

***

Przed czterma laty synek nasz spadł ze schodów z drugiego piętra. Nie zabił się wszakże ni kaleką nie został. Krew tylko rzuciła mu się ustami, buchając gwałtownie. Na widok nieszczęścia pobiegłam natychmiast ku chłopięciu, podniosłam je zrozpaczona i sine i prawie bez życia zaniosłam na rękach do pokoju do łóżka, wzywając gorąco ratunku u Królowej Niebios, N. P. Maryi Wspomożycielki. Następnego dnia, pomimo bezradności lekarskiej, dziecko wstało, chodziło i jadło. Tylko na głowie miało guzy wskutek czego głowa opuchła. Wszakże w krótkim czasie wyzdrowiało zupełnie, nie ponosząc ni na umyśle ni w mowie żadnych następstw.

Dwa lata później tenże sam chłopczyk zachorował nagle w nocy. Dostał wymiotów i popadł w tak poważne omdlenie, że pomimo tarcia i trzeźwienia nie dawał oznak życia. Wtedy sądząc że synek umarł, uklękłam z mężem przy łóżku, wołając gorąco do N. P. Maryi Wspomożycielki o przywrócenie życia dziecięciu, poczem mu wlałam do ust nieco cudownej wody z Lourdes. I oto cud się stał! Chłopczyk w tej chwili otworzył oczy z uśmiechem, przyszedł do siebie i od tej chwili cieszy się najlepszem zdrowiem.

Ponieważ zaś w obu tych razach publicznie przyrzekłam podziękować N. P. Maryi Wspomożycielce, uiszczam się przeto z obowiązku i posyłam skromną ofiarę na cele Salezyańskie.

Oborniki, 7. listopada 1912.

S. Antonina i Wojciech.

***

Dziękuję B. Sercu P. J. i N. P. Maryi Wspomożycielce za wszystkie dotychczas otrzymane łaski, a szczególnie za pewną przerwę i jakby spoczynek wśród różnych kłopotów, ucisków i prześladowań rozzuchwalonych grzeszników, nienawidzących Boga, Kościoła św. i sług Jego. Wszak takie przerwy, by nie ciągle zostawać w uciskach — „*intervalla pacis*“ wśród ustawicznych walk i objawów nieprzyjaźni ludzkiej, — są czasami wytchnienia dla spracowanych robotników w winnicy pańskiej. Więc i za to należy Bogu dziękować, by wśród chwilowego choć ukołysania namiętności ludzkich, kapłan miał czas zebrać znów siły do ciężkiej pracy i spokojnego znoszenia różnych ciężkich napaści nieprzyjaciół krzyża.

Bejsce, 17. października 1912.

Ks. Kuliński Jakób, Mieczysław.
*proboszcz.*

**N. P. Marya Wspomożycielka pocieszy, gdy kto z ufnością do Niej się uciecze.**

Przed kilku tygodniami byłam w nad wyraz przykrem położeniu. Wszelkie starania i zabiegi zdawały się nie odnosić pożądnego skutku. Niezmiernie strapiona, zwróciłam się w najkrytyczniejszej chwili do N. P. Maryi Wspomożycielki Wiernych z gorącą prośbą o pomoc, *posyłając do Oświęcimia na nowennę*. Królowa Niebios, najdobrotliwsza Matka utrapionych, wysłuchała naszych próśb, bo oto sprawę jak najpomyślniej zakończyłam. Dotrzymując więc obietnicy, posyłam ofiarę na mszę św. dziękczynną przed cudownym obrazem N. P. Maryi Wspomożycielki. Niechaj to będzie przykładem dla wielu, że kto czci i ufa Maryi Wspomożycielce, tego Ona nie opuści.

Czortków, 22. października 1912.

Gulewiczowa Zofia.
*emerytow. nauczycielka.*

***

W maju 1912 zachorował nasz Ignaś, pięcioletni synek, ciężko na szkarlatynę. Kiedy środki lekarskie okazały się nieskuteczne i kiedy z dniem każdym gorączka wzrastała, udałam się strapiona do N. P. Maryi Wspomożycielki, prosząc w *nowennie* o ratunek dla dziecka. I dziwna rzecz! Synek wkrótce wyzdrowiał zupełnie.

Reklinghausen, październik, 1912.

Kasperska Franciszka.

***

Będąc ciężko chorą przyszła mi myśl udania się do miłosiernej Matki naszej N. P. Maryi Wspomożycielki, ślubując w razie wysłuchania, ogłosić łaskę we „*Wiadomościach Salezyańskich*“ i posłać ofiarę na mszę św. I dziś szczęśliwą się czuję, że mogę spełnić swą obietnicę, że mogę publicznie podziękować Wspomożycielce za cudowne uzdrowienie.

Warszawa, 20. października 1912.

Wypych Paulina.

***

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Najśw. P. Marya Wspomożycielka.

Żona moja przeszło trzy miesiące cierpiała na uciążliwą chorobę. Szukaliśmy pomocy u wielu lekarzy ziemskich, którzy, będąc jednego zdania, mówili wszyscy, iż zapóźno szukamy ich porady, gdyż choroba przestarzała. W tem przypominają mi się liczne błogosławieństwa i łaski Maryi Wspomożycielki, które co miesiąc czytujemy w „*Wiadomościach*“ i postanowiliśmy prosić o odprawienie nowenny do tej, która nikogo jeszcze nie zawiodła, Maryi Wspomożycielki Wiernych. W trzy dni żona moja zupełnie wyzdrowiała, za co składamy niniejszem Najświętszej Panience serdeczne dzięki. W dowód wdzięczności przesyłamy ofiarę na cele Salezyańskie.

Jełowa-G. S, 15-11-1912.

Walenty i Marya Sojkowie.

Znajdując się w różnych potrzebach duchownych i doczesnych udałem się do XX. Salezyanów w Oświęcimiu z prośbą o nowennę do Najsłodszego Serca Jezusa i Najśw. Maryi Panny W. W. na moją intencyę, obiecując złożyć skromny datek na zakład i ogłosić łaskę w „*Wiadomościach Sal.*" Obecnie wywiązując się z przyrzeczenia, składam niniejszem publiczne podziękowanie Najsłodszemu Sercu Jezusa i Najśw. Maryi Pannie W. W., naszej niebieskiej Królowej za pomoc i błogosławieństwo przy trudnym egzaminie, a także za różne łaski duchowne i doczesne otrzymane za przyczyną tej Orędowniczki najdobrotliwszej i posyłam skromną ofiarę na zakład Salezyański w Oświęcimiu, prosząc tę możną i łaskawą Wspomożycielkę o zdrowie i błogosławieństwo dla rodziców, braci i sióstr, a dla mnie o litościwą opiekę i pomoc.

Montefiascone, Rzym. 2-12-1912.

W. P.
*słuchacz św. teologii.*

* * *

Dopełniając przyrzeczenia uczynionego podczas choroby mej matki i siostry, które prawie równocześnie musiały poddać się operacyi, składam nieskończone dzięki N. P. Maryi W. W., oraz św. Antoniemu za szczęśliwe przebycie operacyi i powrót do zdrowia. Z wdzięcznością posyłam skromną ofiarę na mszę św. przed obrazem Wspomożycielki Wiernych na intencyę zupełnego powrotu do zdrowia matki mej, która znowu zasłabła.

I. S. W.

* * *

Na początku 1911 r. zaziębiłam się strasznie. W takim stanie przetrwałam rok cały, aż wreszcie zrozpaczona udałam się z błagalną prośbą do Uzdrowicielki chorych N. P. Maryi Wspomożycielki. I nie zawiodłam się. N. P. Marya Wspomożenie Wiernych, wróciła mi zdrowie i łask Swych udzieliła obficie, za co niech Jej będzie cześć i chwała!

Poznań, 22. października 1912.

Ż. E.

* * *

Przed dwoma laty zachorował mi ciężko mąż. Wtedy postanowiłam sobie, że jeśli szczęśliwie do zdrowia powróci, dam w Oświęcimiu u XX. Salezyanów na mszę św. Różne wszakie przeszkody — brak pamięci, sprawiły, że zapomniałam o danej obietnicy.

Teraz strapiona różnemi ciężkiemi moralnemi utrapieniami, wywiązuję się z danej obietnicy i proszę, by moje skromne podziękowanie umieszczone było w „*Wiadomościach Salezyańskich.*"

X*** 31. października 1912.

Gumułkowa Kazimierza.

* * *

Przed niedawnym czasem zachorowała znajoma moja p. Zubkowska, matka dwojga dzieci. Słabość była ciężka bardzo i niebezpieczna i długo się przeciągała. Wówczas w gorącej modlitwie błagałam N. Serce P. J. za przyczyną N. P. Maryi Wspomożenia Wiernych o uzdrowienie chorej, obiecując wrazie pomyślnym złożyć publiczną podziękę we „*Wiadomościach Salezyańskich*". I najlitościwsze Serce P. J. i Maryi raczyły wysłuchać moją niegodną modlitwę, bo chora wkrótce nad podziw przyszła do zdrowia zupełnie.

Niechże więc za tę łaskę chwała, cześć i dziękczynienie będzie N. Sercu P. J. i Jego najdobrotliwszej Mateczce!

Śniatyń, 2. listopada 1912.

Prokopowicz F.

* * *

Przejęte nieograniczoną czcią i wdzięcznością ku N. P. Maryi Wspomożenia Wiernych, składamy publiczne podziękowanie za łaski, jakich nam dotąd w różnych potrzebach życia udzielała. Posyłamy też mały datek *na cele Zakładu w Oświęcimiu* z szczerem podziękowaniem za odprawioną mszę św. i nowennę na intencyę naszą. Ty, o Maryo, niezawodna Wspomożycielko nasza nie opuszczaj nas nigdy z swej przemożnej opieki.

Poznań, 4. listopada 1912.

Tomicka Jadwiga
*z matką i synem.*

* * *

Będąc w wielkiem utrapieniu wskutek niesprawiedliwego oczernienia i zawezwania do sądu i nie mając na własną obronę świadków, udałem się z prośbą do N. P. Maryi Wspomożycielki i prośba moja została wysłuchaną — zostałem uwolniony.

Składam za to publicznie serdeczne podziękowanie i posyłam ofiarę na cele Salezyańskie.

Rozdrażewo (Poznańskie), listopad 1912.

Tyrankowski Fr.

* * *

Wdzięczna całem sercem Matce Najświętszej Wspomożenia Wiernych za wysłuchanie mej prośby i uchylenie odemnie ciężkiej choroby, przesyłam ofiarę według uczynionej obietnicy, na cele Salezyańskie, prosząc o modlitwę dla uproszenia dalszej Opieki Matki Najświętszej dla mnie i całej rodziny teraz i na wieczność całą.

Przewrotne, 1912.

Politalska Marya.

* * *

Będąc w krytycznem położeniu materyalnem udaliśmy się pod opiekę N. P. Maryi Wspomożycielki, a doznawszy wielkich Jej łask, gorąco dziękując, posyłamy małą ofiarę na cele Salezyańskie.

Suwałki (Król. Pol.), 1912.

A. M.

* * *

Synek nasz 6-letni już po drugi raz zapadł nam na zapalenie mózgu. W pierwszym razie zdołaliśmy go uratować, w drugim natomiast nie było ratunku. Wobec coraz groźniejszego rozwoju choroby, lekarz zwątpił, a my w tem rozpaczliwem położeniu udaliśmy się po ratunek do N. P. Maryi

Wspomożenia Wiernych. Chory natychmiast zaczął przychodzić do siebie, odzyskał przytomność umysłu i dziś cieszy się najlepszem zdrowiem. Lekarz dziwił się temu, orzekając, że wyzdrowienie to trzeba przypisać wszechpotężnemu Bogu i N. P. Maryi Wspomożycielce. Przepełniona więc nieograniczoną wdzięcznością, składam N. P. Maryi Wspomożenia Wiernych publiczne pokorne dzięki i posyłam ofiarę na mszę św. i na cele Salezyańskie, polecając się gorąco wraz z całą rodziną przemożnej Jej opiece.

Warszawa, 1912.

PACHOWSKA FRANCISZKA.

***

Byłyśmy zasmucone i strwożone chorobą matki, bo doktorzy zostawili ją bez nadziei. My wszakże, ufając w pomoc N. P. Maryi Wspomożycielki, błagałyśmy Ją o ratunek i zdrowie. I Marya próśb Swych dzieci wysłuchała. Po 2 tygodniach bowiem mama opuszcza łoże i dziś czuje się zdrową.

Zawiercie, listopad 1912.

KIDOCKA STEFANIA.

***

Najgorętsze podziękowanie składa N. P. Maryi Wspomożycielce:

A. L. — *Bydgoszcz* — Ks. Poz. — za pomoc udzieloną synowi podczas egzaminów.

Andrzejewska Leontyna — *Krajno-Indura-Król. Polskie* — za szczęśliwie przebytą operacyę i zupełne wyzdrowienie siostry.

Domagalska Maryanna — *Wieliczka-Galicya* — za doznane łaski.

Dutkiewiczowa Zofia — *Śrem*, za zupełny powrót do zdrowia po bardzo ciężkiej i bolesnej chorobie i operacyi.

Flak Zofia z mężem — za wrócone zdrowie i nawrócenie.

Grzechca M. — *Mikulczyce* — *G. S.* za otrzymanie zdrowia.

K. G. — *Warszawa Król. Polskie* — za wyratowanie mnie z groźnego niebezpieczeństwa.

Krowa Franciszka — za otrzymaną łaskę.

M. Br. — *Buk*, za wiele doznanych łask, za pocieszenie w smutkach, strapieniach i kłopotach.

Mróz — *Draganówka*, za wyzdrowienie syna z ciężkiej i niebezpiecznej choroby.

M. R. — *Kalisz*, za szczególne łaski, nawet w najdrobniejszych sprawach.

Makuchowie Antoni i Marya — *Byczkowce Galicya* — za uzdrowienie dziecka.

Piechowicz Roman — *Olkusz*, za uzdrowienie córki.

Przyłucha Marya — *Mazurówka*, za cudowne wyzdrowienie z choroby, którą lekarze uznali już za nieuleczalną i śmiertelną.

Pr. Z. — *Załakawo*, za doznane łaski.

Rygielski Michał — *Rydułty Górne* — G. S. — za otrzymane zdrowie.

Stec — *Osielec* , za przywrócenie do życia utopionej córeczki po zawezwaniu pomocy N. P. Maryi Wspomożenia Wiernych i za wiele innych cudownych łask.

Zalewska St. — *Aleksandrów*, za różne łaski otrzymane, a szczególnie za wyzdrowienie męża.

Zamazalówna Józefa — *Żurawno*, za pomyślne zdanie egzaminu dojrzałości.

Zielińska Barbara — *Kobylin* — *Ks. Pozn.* za uzdrowienie córeczki z ciężkiej choroby.

***

Nadto dziękują N. P. Maryi W. W. za odebrane łaski i przesyłają ofiary na msze święte lub na cele Salezyańskie, a mianawicie na zakład w Oświęcimiu i Przemyślu, także następujące osoby:

**Górny Śląsk:**

Dendzik Franciszka — *Gliwice*. Faber Paweł — *Wielka Dąbrówka*. Knopalla Jan — *Żelazno*. Przybylski Wojciech — *Frydenshuta*. Swoboda Jan — *Boguszyce*.

**Wielkie Księstwo Poznańskie:**

Wysocka Zofia — *Pleszno*. L. Fr. — *Lutynia*.

**Westfalia:**

Ziółkowski Jan — *Gelsenkirchen*.

**Prusy Zachodnie:**

Gracz Antoni — *Pączewo*. Konkel Antoni — *Keisternest*.

**Królestwo Polskie:**

Bołądź Aniela — *Suwalki*.

**Galicya:**

Kiszka Regina — *Czerwonka*.



# OD REDAKCYI!

Niniejszem przepraszamy wszystkich tych Pomocników naszych i wspaniałomyślnych ofiarodawców, którym na własną ich korespondencyę przez pomyłkę tylko odpisano w języku niemieckim. Stało się to jedynie z tej przyczyny, że ich listy pisane były po niemiecku i jako takie wymagały odpowiedzi niemieckiej. Ci zatem co po niemiecku do nas lub do Ks. Albery piszą, a pragną odpowiedzi w języku polskim, niechaj z łaski swej wyrażą tę swoją wolę; tak tedy chętnie zadość uczynimy ich uprawnionym życzeniom.

# Wiadomości Potoczne.

## Kronika Zakładów Salezyańskich.

**OŚWIĘCIM.** — Jedną z cech głównych, jakie znamionują nasze zakłady i o jakie prawie najwięcej się staramy, jest wesołość — ta szczera i otwarta, a nawet krzykliwa wesołość szczególniej odpowiadająca ognistej i wrzącej naturze chłopaka, który wtenczas tylko czuje się zdrowym i zajmie się szczerze pracą poważniejszą, gdy się dowoli może wyskakać i wykrzyczeć. Ducha wesołości polecił i przekazał swoim zakładom sam Ks. Bosko, który był w tym względzie wzorem niedoścignionym, bo był najweselszym wtedy, gdy miał największe kłopoty i największe napotykał trudności, a doświadczenie przekonało go dostatecznie, iż chłopcy, zawsze weseli, odnoszą największe korzyści. Są jednak chwile, w których wesołość potęguje się, a okiełznana powagą okoliczności, wydaje coś prawie idealnego. Mogę to powiedzieć o uroczystości, którąśmy w tutejszym zakładzie obchodzili w niedzielę 17. listop. Z imieninami Przew. Ks. dyrektora Stanisława Pływaczyka połączono uroczystość św. Stanisława Kostki, najpopularniejszego świętego wśród naszych wychowanków, którzy nawet związali się w wielkie towarzystwo pod jego wezwaniem i przy tej okazyi wytężyli wszystkie siły, aby dłuższem i staranniem przygotowaniem uczcić godnie swego patrona i imiennika Ks. dyrektora. Więc przy złączonych siłach zrobiono wiele... Wszystko odbyło się uroczyście, jak w większe święta, tylko po nieszporach urządzono nadto w murach zakładu piękną procesyę ze statuą św. Stanisława Kostki, na której chłopcy postępowali, uszykowani według towarzystw i śpiewali przy towarzyszeniu kapeli pieśń do tego uroczystującego wyznawcy. Wieczorem tradycyjny wieczorek, na którym, słyszałeś śpiewy, muzykę, deklamacye, mowy, życzenia itp; a wkońcu pocieszną farsę. Każda klasa miała tu swoich przedstawicieli, a były i przygodne poezye, jak ,,P. Jezus i wiewiórka" ,,Zabawka Bozi" itp.

Wszystko poszło pięknie, składnie i wesoło.

Nie zapomniano snać o owem łacińskiem dictum ,,Utile dulci": był więc i humor, były i nauka i zabawa i wynurzenia wdzięczności i miłości ku Ks. dyrektorowi, którego trudy w ostatnich zwłaszcza czasach bodaj czy nie przewyższyły dyrektorskich honorów. Co szczególnie uderzało, to szczerość, poufałość i familijność, jaką podziwiałeś na każdym kroku, w każdem słowie i w całem postępowaniu, a jednak wszystko było owiane pewną niekrepującą powagą. Otoczyliśmy Księdza dyrektora kołem i popłynął wesoły szczebiot dziatek, które cieszą się, że mogły powiązać ojca, powinszować mu i życzyć wszelkiego dobrego. Padają słowa. ,,Ten sobie gada i ten sobie gada", ale słowa nie mogą wypowiedzieć wszystkiego, czem serce bogate, więc reszty dopełnia owa niema i cicha, a rzewna rozmowa, jaką toczą dwa serca miłością spojone.

Godnie też wystąpiła z nowym programem nasza drużyna sokola, która wyrzucała sobie najmniejsze opóźnienie lub najmniejszą pomyłkę w takcie i w ruchach, o co tak trudno u młodzieży. Brzmiały wesołe mazurki i krakowiaki, płynęły potoczyste polonezy, a tak w takt wiły się oddziały w raźnych ruchach, obrotach i podskokach, splatały się ręce, gmatwały szeregi i znowu coraz to inny front, coraz to zawilsza figura; to stają do pojedynku, to odskakują, ruchy się krzyżują, mijają, szereg to się ścieśnia, to wydłuża, to rozszerza, a wszystko z góry obliczone, wszystko sprawnie, zgrabnie i lekko, jak pląs rozwija się i porządkuje i nasze zuchy odchodzą już z hucznemi brawami, by nabrać tchu do nowego popisu; szczególnie ładnym był obraz z maczugami przy aryi ,,Za chlebem" (*Góralu, czy ci nie żal*). Ruchy powolne, spokojne, prawie tęskne, jak tęskną i smutną jest myśl Górala, opuszczającego swe rozległe hale, których mu nie zastąpią nawet saskie i westfalskie talary. Odbierz tylko rybie wodę! A dlaczegóż opuszcza te hale? Dla chleba, panie, dla chleba.....

Pozatem wszystkiem przemy całą siłą pary naprzód, bo budowa i inne sprawy poczyniły w naszym programie pewne opóźnienia; więc teraz trzeba nadganiać, by potem później mieć czas oryentować się w świecie, na którym pono takie wywroty się gotują....

**HAWTHORNE, N. Y.** — Każdy dobrze myślący Polak z żalem patrzy, jak wielu rodaków, biedą przyciśniętych, opuszcza, swą ulubioną Ojczyznę i udaje się w obce kraje, by szukać kawałka chleba.

Jak temu zapobiedz? Niejeden zapewnie o tem myślał, wynajdując różne środki zaradcze: — ale daremne samo myślenie, jeśli ono nie zostanie czynem.

Wszakże, aby dobrą myśl w czyn obrócić, potrzeba zawsze wytrwałej, niestrudzonej i uciążliwej pracy: potrzeba poświęcenia i to nie jednostki tylko, albo paru jednostek, ale szerszego ogółu.

A gdy tenże nie dorósł swemu zadaniu, gdy zobojętniał na kwestye żywotne swego narodu, wtedy i wysiłki wielu nie wystarczą. Cóż dopiero począć, jeżeli do tego napotyka się na trudności

skądinąd nie do przełamania?... A nam ich niestety nie brak!...

Nikt bowiem nie wątpi o tem, iż cały nasz naród jest uciśnięty ze wszech stron, i pomimo hartu i wytrwałości, pomimo przywiązania szczerego do własnego zagonu, poważna liczba rodaków musi z konieczności, z łzą w oku i sercem rozdartem, opuszczać go i pójść za chlebem w obce, nieznane, często wrogie kraje. — Kto policzy te setki i tysiące, które z nadzieją w sercu i z ufnością w Bogu, opuszczają kraj swój, by potem... więcej go nie zobaczyć?

Jak niegdyś żydzi nad brzegami rzek Babilonu, tak teraz płacze i wzdycha nasz naród za wolnością ojczystego kraju, wołając do Pana Zastępów:

dowatej ziemi, póki go promień słońca nie ogrzeje, — tak wysiłki nasze długo, ach! nadto długo będą bezowocne, póki ich ciepło i światło Słońca odwiecznego nie oświeci — nie ożywi! „Ab Jove initium!" mówili starzy poganie, a chwalebnie nam panujący Pius X. mówi: „Omnia instaurare in Christo!"

Tym to duchem ożywieni synowie Ks. Bosko — Polacy dążą w starym kraju do tego, by młodzież oderwać od złego, a wprawić ją do zamiłowania pracy, która jest początkiem dobrobytu. Ale ponieważ ptak o jednem skrzydle nie lata, tylko o dwóch — do pracy łączą wychowanie moralne, które sprawia, iż człowiek staje się godnym swego stanowiska wobec P. Boga, bliźniego i siebie samego.




Pierwsi Salezyanie Polacy w Am. Półn. w gronie swych wychow . ków.

„Ojczyznę, wolność, racz nam wrócić Panie!"

Ale, czyż samo wołanie i prośby powinny nam wystarczyć? — Bynajmniej!

Wieśniak doskonale wie o tem, iż rolę musi dobrze zorać, znawozić, a dopiero potem powierzyć jej ziarno. To ziarno, drżącą nieraz ręką rzucone, zwłaszcza gdy brak go w szpichlerzu, gnije wreszcie w ziemi. Wie i o tem rolnik, a mimo to je rzuca, gdyż wie również, iż z wiosną ogrzeje je dobrotliwe słońce, a wtedy ono się obudzi, ożyje: powoli wyrośnie, aż nareszcie obfity plon wyda!...

Tak i my, rodacy, inną, duchowną rolę powinniśmy uprawiać! Ileż to chwastu n. p. wyrosło na niwie polsko amerykańskiej?..... Zdawać by się mogło, iż niektórzy rolnicy, siewcy nibyto wolności i postępu, — zapomnieli o tem Słońcu prawdy i ciepła, jakiem jest P. Bog!...

Jak ziarno martwem pozostaje w skrzepłej, lo-

Te same są ich dążności po przebyciu oceanu. Chociaż mała ich garstka, jak widocznem jest z załączonej ryciny, zaczęli i tutaj garnąć do siebie młodzieńców pełnych dobrej woli, by wykierować ich na ludzi światłych i dobrych obywateli polsko — amerykańskich Uczą ich kochać język polski, dzieje polskie i wszystko co wielkie i wzniosłe. Jestto jakoby mała familia, gdzie tlą początki wielkiej kiedyś instytucyi.

Daleko nam do tego, by współzawodniczyć już teraz liczbą z innymi zakładami polskimi w Ameryce północnej, ale .początek zrobiono, — a da P. Bóg, zakwitną i tutaj zakłady polsko - salezyańskie dla ubogiej młodzieży polskiej, która będzie mogła się z czasem kształcić w różnych rzemiosłach, kończyć nauki, a przytem pozostać wiernymi synami P. Boga i Ojczyzny!

Ale początki są trudne. Pomyślcie o tych Pola-

kach, którzy pierwsi przybyli do Ameryki! Ile trudności! — I nam trudności różnorodnych nie brak, — tego nie kryjemy: ale czyż z tego powodu mamy zaprzestać? Byłoby to małodusznością i obrazą tylu dobrych dusz, które już napotkaliśmy tutaj w Ameryce i które nas temsamem zachęcają do wytrwałości i rozszerzania naszej działalności.

Albo lękać się będziem możliwych wrogów? Tych, spodziewamy się, iż nie będzie: celem naszym jest dobrze czynić: a choćby i byli, będą oni narzędziami opatrznościowemi, aby dzieło Boże tem bardziej utrwalić. Nie w własnem bowiem imieniu działać i walczyć będziemy, ale w imieniu tego, który powiedział „*Pozwólcie dziatkom przyjść do mnie!*"

Ziarno tedy rzucone: chłopacy nasi są pilni i pełni ochoty i gdyby nie to, iż rok szkolny dawno rozpoczęty, grono ich byłoby o wiele liczniejsze. — Tego spodziewamy się na rok przyszły, przekonani, iż nadzieja nas nie zawiedzie.

Oczekujemy bowiem wielu ochotników do pracy z poza oceanu, wiele pomocy materyalnej tutaj na miejscu, a wreszcie wielu chłopaków nietylko z okolicy, ale i z dalszych stron, dokąd głos nasz doszedł, lub jeszcze dojść zdolen.

RADNA (Austrya). — Studenckie życie wiatrem podszyte — słyszałem to często i nieraz już miałem sposobność o tem się przekonać. Minął nam stary rok szkolny, minęły błogie wakacye i już od dwóch miesięcy ślęczymy nad książkami, a wszystko to tak nam ucieka, jak urocze nasze sny fiołkowe, gdy się przebudzimy. Nic też dziwnego, że pojąc się temi wrażeniami, zapomniałem nawet dać Wam znać, o kochani czytelnicy, że jeszcze żyjemy, że uczymy się i często o Was myślimy.

A było wrażeń niemiara. Ledwośmy skończyli egzamina, jakby na uwieńczenie naszych trudów, staje przed nami uroczystość Najsł. Serca Jezusowego, przeniesiona z 14-go czerwca na 7-y lipca. Jestto jedno z największych świąt, jakie tutaj obchodzimy, cały bowiem nasz zakład jest poświęcony Najsł. Sercu. Lecz w tym roku to święto miało być podniesione przez przybycie chłopców z oratoryum świątecznego z *Lublany*. Była to wycieczka urządzona dla nich w nagrodę za pilne uczęszczanie na katechizm i dobre zachowanie się poza zakładem. Jestto bowiem jeden z środków zalecanych przez Ks. Bosko, aby przyciągnąć młodzież do oratoryum. Wieczorem więc w sobotę 6-go lipca przybyło z Lublany przeszło 100 chłopców, którzy z swadą właściwą takim, jak oni urwiszom, wnet się z nami poznali i zbratali. Po wieczerzy udali się młodzi pieniacze na siano do stodoły, gdzie do późna w noc nie marzyli, lecz broili, jak na nich przystało. Nazajutrz o godz. 10-tej odbyła się uroczysta suma na wewnętrznem podwórzu zakładowem, bo nasza kapliczka za mała jest na pomieszczenie tylu gości. Wieczorem kapela lublańska popisywała się artystycznemi reprodukcyami. Na drugiem podwórzu kółko gimnastyczne oratoryum świątecznego zabawiało licznie zgromadzony lud okoliczny, który pierwszy raz może widział podobne igrzyska. Następnego dnia wszystko się uspokoiło a my zaczęliśmy wesoło używać dni zasłużonego odpoczynku.

Lecz zbliżył się rok szkolny. Nie stanął on przed nami, jak zwykle przed przeciętnym studentem, jako mara straszna, grożąca całym szeregiem „*dwój i czwórek*," które niby komary nielitościwe brzęczą mu koło ucha, bośmy sobie wyrobili już inne pojęcie o nauce i ideale wiedzy, chociaż nie zapomnieliśmy, że rok ten będzie dla nas czasem trudów i pracy, poza którym majaczy w dali miłe widmo matury. Na rozpoczęcie więc roku szkolnego urządziliśmy sobie wieczorek muzyczno-deklamacyjny, poświęcony przedewszystkiem wspomnieniom minionych dziejów i narodowych pamiątek; a więc usłyszeliśmy odczyt na temat: „Zwycięstwo Konstantyna Wielkiego w r. 312. i wolność Kościoła Katolickiego" i drugi: „Jubileusz Skargi i Krasińskiego."

Na drugi dzień regularna szkoła. Teraz już lekcye płyną spokojnie, szybko, jak wartkie nurty podzamkowej naszej Sawy i tylko od czasu do czasu wstrzymują się, zatamowane jakiemś ważniejszem zdarzeniem w zakładowej naszej kronice. A już w niej jedna ślicznie zapisana karta, której tytuł: 6-ty października, uroczystość M. Boskiej Różańcowej — obłóczyny naszych nowicyuszów.

Widziałem ich wszystkich, jak stali przed ołtarzem pańskim, a każdy trzymał w ręku sutannę i biret. Stali milczący i skupieni, bo gotowali się do wielkiej ofiary całopalnej, której końcem zupełne złączenie się ze Stwórcą w dziedzinie wybranych. Patrzałem na nich a łzy gwałtem cisnęły się do oczu, boć i ja, lat temu kilka, tak stałem i do podobnej gotowałem się ofiary, a teraz patrzę na te nowe zastępy młodzieńców jako na braci swych młodszych i dlatego milszych i serdeczniejszych.

Było ich 30 od najmniejszego do najwyższego, młodzi i starsi, którzy jeszcze dnia poprzedniego śmiało w górę podkręcali wąsiki. A oto zbliża się chwila stanowcza. Sklepienia kapliczki rozbrzmiały hymnem do Ducha św., którym młodzi Chrystusa rycerze składają przysięgę wierności swemu królowi. Głos ich drżący a na ich twarzach błyszczy radość serdeczna, bo wszyscy z głębi duszy wołają: „Panie myśmy twoi słudzy na zawsze." A Jezus spoglądał na nich z ołtarza wzrokiem słodkim, łagodnym, przyjmując wszystkich do swego otwartego serca. Zbliżają się parami do stóp ołtarza i tu z rąk Przełożonego przyjmują sukienkę zakonną ze słowami: *Niech zdejmuje Pan z ciebie starego człowieka; niech cię oblecze Pan nowym człowiekiem, który jest stworzony według Boga w sprawiedliwości i świętości prawdy.*"

W końcu przystępują bracia, którzy habitu wprawdzie nie otrzymują, ale zato przywdziewają na siebie medalik Wspomożycielki, by niepoznani przez świat, tem łatwiej i swobodniej mogli dlań pracować. Wychodzą następnie z kaplicy; klerycy przywdziewają komże i przez bramę główną wchodzą na nowo do kościoła. Z ich piersi wyrywa się hymn pochwalny: „*Wielbij duszo moja Pana, albowiem uczynił mi wielkie rzeczy, który mocny jest i święte imię Jego.*"

Teraz następuje uroczysta suma z klerem, który wielkiem półkolem otacza ołtarz uwielbiając i dziękując Bogu za otrzymaną łaskę. Wychodzimy z kaplicy i teraz dopiero tłumione dotąd uczucia

wyrwały się falą wezbraną; cieszyłem się i ja ich radością i szczerze życzyłem każdemu wytrwania. Na podwórzu zaroiło się od kleryków, których liczba dochodzi teraz do 50-ciu. Wszyscy weseli, szczęśliwi, że zaspokojone zostały najżywsze pragnienia ich serca, przepędzili ten dzień w świętej radości i serdecznem swych uczuć wynurzaniu.

Jeszcze jedna uroczystość rozerwała nam spokojność zakładowego życia. Przyjazd J. Eksc. Księcia biskupa lublańskiego, który wizytując okoliczne parafie, nie ominął i naszego zakładu i 25-go października odprawił u nas mszę św. wspólną, podczas której wszyscy przystąpili do stołu pańskiego. Następnie udzielił kilkom sakramentu bierzmowania i w gorących słowach zachęcił do dalszej pracy nad własnem udoskonaleniem. Choć kilka chwil tylko zatrzymał się u nas, wszyscy byliśmy zbudowani Jego pobożnością, ujęci jego dobrocią.

I znów spokój i cisza wróciła w nasze ustronie. Uczymy się i modlimy, gotując się do wzniosłego posłannictwa pracy dla dobra młodzieży.

**BAGÉ** (Rio Grande do Sul-Brazylia). — Dnia 7-go września obchodzili tu nasi współbracia razem z wychowankami uroczystość narodową. Dzień ten uświęcono nabożeństwem kościelnem, a wkońcu wieczorem urządzono komemoracyjną akademię. W tych obchodach demonstracyjnych brał udział Generał trzeciej brygady jazdy, P. Jan De Luz. Niestety, z zakładu nie otrzymaliśmy najmniejszej wzmianki o przebiegu tej uroczystości. Natomiast podajemy w tłumaczeniu otwarty list samego generała de *Luz* do Ks. dyrektora zakładu, ogłoszonego w gazecie urzędowej.

„Powracając z umysłem wolnym od wszelkich wrażeń chwilowych, doznanych w tak wielkiej mierze, do wczorajszej uroczystości narodowej, w której miałem zaszczyt uczestniczyć w zakładzie wychowawczym Księży Salezyanów, zmuszony jestem wynurzyć publicznie moje serdeczne i szczere podziękowanie za łaskę okazaną mnie, obierając mą niegodną osobę na przedstawiciela władzy cywilnej. Zawsze byłem przekonany, iż Salezyanie uczą młodzież kochać Boga i bliźniego. Wczoraj zaś naocznie doświadczyłem, iż nauczają także kochać kraj rodzinny — że zaprawiają tę młodzież do obrony tak moralnej, jak finansowej i fizycznej tej matki ziemi — że już od pierwszych lat wpajają jej w serce gotowość ponoszenia ofiar dla dobra publicznego. Ostatni ten szczegół mogłem wywnioskować z wzorowego porządku, w którym zastałem cały ten dom wychowawczy, — z przykładnego obejścia się samych wychowanków, szczególnie zaś z chętnego i godnego pochwały posłuszeństwa tychże na każdy znak przełożonych. Kto za młodu umie ograniczyć swoją wolę, kto za młodu potrafi zdobyć się na tyle hartu duszy, że na dany znak zaprzestaje ulubionej zabawy, aby udać się za głosem posłuszeństwa, ten w swoim czasie i większe będzie umiał ponosić ofiary dla swego obowiązku, ten i krew przeleje chętnie dla obrony sprawiedliwości. Oto wychowanie, jakiego jedynie życzyć sobie możemy dla naszej dziatwy. Toteż w imieniu własnem i w imieniu władzy cywilnej, której wczoraj byłem przedstawicielem u czcigodnych Salezyanów, składam im publiczne dzięki za ojcowską opiekę, jaką otaczają najdroższe nasze skarby. Póki takich wychowawców młodzi naszej, póty Ojczyźnie naszej głowę wysoko nosić i szczytne zajmować miejsce wśród narodów świata.

Bóg, miłość bliźniego, zaparcie się siebie: oto podstawy chrześcijańskiego i patryotycznego wychowania.''

## Z naszych oratoryów.

**LIWORNO** (Włochy). — W oratoryum imienia Przenajsł. Serca Jezusowego, dzięki staraniom Ks. dyrektora, odbyły się od 15. do 22. września siedmiodniowe rekolekcye, z których bardzo skwapliwie korzystali liczni nasi oratoryanie. Najprzew. zaś Ksiądz Paweł Albera raczył nadesłać wszystkim cenną pamiątkę: był to obrazek Najśw. Maryi P. Wspomożenia Wiernych, z napisem:

1°. *Pilnie strzeżcie najdroższego skarbu wiary świętej. Największe nieszczęście, jakie może spotkać człowieka jest postradanie wiary.*

2°. *Przystępujcie jak najczęściej do zakramentów świętych. One są źródłem łaski Bożej; one rodzą w nas siłę i odwagę do czynienia dobrze, do przestrzegania praw Boskich i do unikania złego.*

3°. *Posiadacie serce czyste i skore do dobrego. Niechaj nic złego, nic nieczystego do niego przystępu nie dozna.*

**MALTA-SLIEMA.** — W niedzielę, 10-go listopada, koło godziny 6-tej wieczorem, liczna rzesza buńczucznej młodzieży, zwartej w wzorowe czwórki, z chorągwiami i dziarską kapelą na czele, zwracała na siebie powszechną uwagę. To oratoryanie Śliemscy powracają z wycieczki, urządzonej im w nagrodę za ich pilne uczęszczanie do oratoryum i za dobre, wzorowe zachowanie się poza niem. Wycieczka ta, tak zwana św. Marcina, przy nader ślicznej pogodzie, miała przebieg dobry i wprawiła wszystkich uczestników w najlepszy humor.

Wyruszywszy z domu zaraz po obiedzie, cała kompania udała się ku mieszkaniu p. markiża Mattei'ego, by podziękować mu publicznie za wspaniały dar instrumentów muzycznych, na których dziś właśnie po raz pierwszy huczne wygrywano marsze. Stąd podążyli wszyscy parowcami do celu wycieczki, do zakładu i schroniska dla starców, położonego na wysepce Misidy. Tu doznali jak najserdeczniejszego przyjęcia a przybysze młodzi odpłacili łaskawym gospodarzom pięknym koncertem, w którym muzyka instrumentalna przeplatana deklamacyami i chóralnymi śpiewami, wywołała w umysłach i sercach starców najrozmaitsze i rzewne pamiątki z czasów lat młodocianych i w niejednem oku wycisnęła łzę wzruszenia.

Po uroczystem błogosławieństwie Przen. Sakramentem, zasiedli zgłodniali już prawie goście do obficie podwieczorkiem zastawionych stołów. Siostry, obsługujące schronisko wszelkich dołożyły starań, by, ile możności, wygodzić naszym zuchom,

którzy, jako usłużni i do ustępstw gotowi, nie bardzo się dali prosić i nękać, by uczcić dobrą wolę ofiarnych gospodyń.

O godzinie 5 ½ wieczorem ruszyła cała komitywa na dworzec kolejki elektrycznej, która dowiozła ich aż do przystani. Wsiadłszy na parowce przebyli zatokę i udali się do Oratoryum. Po drodze przystanęli pod oknami pałacu p. Galea, głównego dobrodzieja śliemskiej kaplicy świątecznej. W końcu odmówili wspólnie modlitwy wieczorne na podziękowanie Panu Bogu za doznane w tym dniu dobrodziejstwa i łaski.

## Z życia Byłych Wychowanków.

**PARMA** (Włochy). — Wieczorem 9-go listopada na sali biskupiej nastąpiło uroczyste otwarcie kursu szkoły Religii. Udział akademików i uczniów szkół gimnazyalnych i normalnych był nader liczny; miejsca przeznaczone dla inteligencyi miejskiej były wszystkie zajęte, a i ganki przepełnione były słuchaczami. Na przedzie były krzesła dla duchowieństwa i innych osobistości. Miejsce honorowe zajmował J. Em. Ks. arcybiskup. Zagaił to posiedzenie Ks. dyrektor Szkoły Religii *Paweł Lingueglia*, który, naznaczywszy program tegoroczny nowego kursu, przedstawił zebranym wybranego mówcę, prezesa *Towarzystwa Ludowego* i dyrektora *Wolności* (Libertà) *Padewskiej* Dr. Dalla Torre. Przemawiał on głosem dźwięcznym i pewnym siebie. Temat był: Kontard Ferrini. Celem mówcy było wykazać młodzieży i zebranym, że żadne nie istnieje przeciwieństwo między wiarą i nauką prawdziwą, jak to tendencyjnie wykazać pragną nieprzyjaciele Kościoła katolickiego, aby unicestwić wszystko to, co Kościół czyni dla polepszenia i odnowienia społeczeństwa.

Istotnie wybór mówcy był bardzo szczęśliwy. Jakoż Kontard Ferrini dzieckiem jeszcze, a potem studentem i profesorem Wszechnicy Modeńskiej, był zawsze przykładem tak pod względem elegancyi i wytworności manier, jako i pod względem dobroci, pilności i religijności przedewszystkiem. Jego pobożność zaś tak się odrzynała na ogólnem tle studenckiej religijności, że nazywano go *św. Alojzem* Kolegium Borromejskiego. W 24. roku życia został profesorem prawa. W podróżach swoich zawsze pozostawiał po sobie ślady pobożności równej z uczonością. W Berlinie ofiarowano mu wolną katedrę, a sławny jurysta Momsen nazwał wiek XX jurystyczny, wiekiem Ferrini'ego.

Prawnik ten, zgasły roku 1902-go, w wieku 43 lat zaledwie, porusza znowu świat cały i zwraca na siebie powszechną uwagę: oto w Rzymie toczy się pełnym biegiem proces beatifikacyjny tego sławnego profesora. Rzecz nadzwyczajna wprawdzie! Powszechnie mowią, że wiek nasz świętych wydać nie może, chyba wśród ludzi zacofanych, wśród nieuków, bo nauka nietylko nie prowadzi do Boga, ale przeciwnie nauka a Bóg, to dwie rzeczy przeciwne sobie, walczące z sobą zażarcie, na życie i śmierć. To wedle światowców, wedle tych, którym źle z Bogiem być; ktorym lepiej powiedzieć, że Boga niema, a żyć jak bydlę: oto wyniki niedoszłych mędrków naszych.

Do przeciwnego jednak wniosku dochodzi człowiek iście uczony. Nauka nigdy nie była przeciwną religii — owszem nauka prawdziwa wiedzie do prawdy — do Boga. ,,Jam jest droga i prawda i żywot" (Jan. XIV-6). Dowodem świętej tej prawdy jest właśnie wyżej wspomniany Ferrini. Oto przykład dla młodzieży uczącej się, oto wedle słów Ojca św. Piusa X. święty patron wieku XX., wieku nauki i postępu.

Zabrało kolejnie głos kilku studentów, wykazując, jako tylko ludzie bez charakteru i bez woli wstydzą się wyznawać publicznie tę religię, której prywatnie przestrzegają i do której należeć pragną na zawsze; jako szydzący z religii i Boga podobni są do młodych piesków, lub do krzykliwych gęsi, co za uchodzącym tylko ujadają i pędzą, a pierzchają haniebnie przed stawiającym im czoło.

W końcu przemawiał Najprzew. Ks. Arcybiskup, wynurzając swe uczucia miłości ojcowskiej ku tej młodzieży dzielnej, mającej odwagę wypełniać publicznie swój obowiązek, a błogosławiąc wszystkim spraszał na nich łaskę Bożą, by za przykładem Boskiego Mistrza postępowali, ,,*w mądrości, w leciech i w łasce u Boga i u ludzi.*"

**ROSARIO** (Argentyna). — W Kolegium św. Józefa urządzono w celu wspomożenia dobrej prasy wieczorek liryczno-deklamacyjny. Udział ludności był wielki, to też i dochód był znaczny, który cały oddano prezesowi Stowarzyszenia dobrej prasy.

Urządzenie tego wieczorka należy się większej części Byłym Wychowankom wspólnie z obecnymi chłopcami zakładowymi.

## ROZMAITOŚCI.

### Z Oświęcimia przez Radnę do Foglizzo.

(*Z listu do Redakcyi.*)

— Po tak ważnym wypadku, jak przeniesienie się z niwy lackiej pod włoskie niebo, chciałbym Czcigodnemu Księdzu Redaktorowi przesłać szkic wrażeń, jakich doznałem w ciągu mej podróży z Oświęcimia aż do nowej naszej siedziby w Foglizzo, gdyż, o ile mi się zdaje, żaden z moich poprzedników jeszcze tego nie uczynił.

— ,,Ależ znowu podróż!" — wykrzyknie Ks. Dobrodziej, — i już, już zdaje mi się, że mój list niedoczytany nawet pogrąży się w ciemnościach kosza redakcyjnego — lecz cierpliwości! — drogi księże!

— Prawda, za wiele już tych podróży mamy na nasze czasy: podróże do bieguna południowego, północnego, podróż naokoło świata, podróż przez Afrykę, Azyę, Amerykę, — koleją, balonem, areoplanem, samochodem, taczkami, nawet pieszo; podróż w osiemdziesięciu, czterdziestu, trzydziestu, dwudziestu, że nie wiem do ilu się ona w końcu

zredukuje, słowem tyle mamy tych podróży, że wystarczy tylko zobaczyć tytuł „Podróż", by cię odleciała chętka nie tylko do podróżowania, lecz nawet do czytania tych różnych „Podróży". Lecz tu zaklinam — racz przeczytać tylko tę moją „Podróż" boć to z Oświęcimia do Foglizzo, więc znów nie tak wielka, a co najważniejsza, że w tej mojej podróży zawadziłem o Radnę, o której istnieniu zaczynała już Szanowna Redakcya powątpiewać, tak mało stamtąd wieści dochodziło.

— Koledzy moi dawno mię odjechali, sam zostałem jak ptak zabłąkany, więc szybko pakuję manatki i wio! Zostawiam za sobą Oświęcim, zostawiam zakład z jego gwarnem życiem, że aż żal je rzucić. Wszak liczba wychowanków wzrosła, zjechała się ich po wakacyach cała chmara, tylko czekają na budujące się nowe skrzydło zakładowe by je zająć w swoje posiadanie, czyli, jak się to teraz zaczyna używać, by je anektować — przebacz Drogi ks. Redaktorze, jeżeli źle tego wyrazu użyłem, lecz jest on nowo ukuty, więc kłopot z nim, jak z nową maszyną, której się nie zna mechanizmu ni użycia.

Po całonocnem trzęsieniu się w wagonie, po godzinnem błądzeniu po Wiedniu, przy pomocy mylnych i niemylnych wskazówek uprzejmych Wiedeńczyków, dotarłem w końcu do naszego zakładu w III dzielnicy. Zakład to piękny, lecz stokroć piękniejsze duszyczki, które w nim znajdują schronienie przed wielkomiejskiem zepsuciem. Jakże mile uderzyły mię głosy całejgromadki chłopców, którzy odmawiali właśnie modlitwy poranne. Życie tu to samo, które charakteryzuje nasze zakłady. Wesołości wiele a zwłaszcza podczas rekreacyi. Mimo szczupłości podwórza gra w piłkę nożną idzie w najlepsze. Po południu zaś, gdy się zejdzie cała rzesza małych Wiedeńczyków, ruch jak w mrowisku. Jedni biegają, bawią się, tam szybuje piłka, tu przyszli architekci przekładają stare cegły, oglądają je, próbują ich trwałości, inni znów rozciągają po różnych kątach drzewo, ku wielkiemu zmartwieniu p. Kalinowskiego, który je ułożył koło swojej kuchni. Wszędzie krzyk, hałas, rwetes, póki dzwonek nie zawoła do kaplicy.

Wypocząwszy trochę i rozglądnąwszy się po Wiedniu nie tracę wiele czasu, lecz żegnam uprzejmych, serdecznych przełożonych wiedeńskiego zakładu i dalej w drogę.

Szybko znikają ostatnie domy Wiednia, a po dwugodzinnej jeździe nowe ukazują się widoki. Semmering! Któż z nas studyując geografię Austryi nie marzył o nim, — a oto ten Semmering właśnie roztacza się przed zdziwionemi oczyma. Nie pierwszy raz go już widzę, a jednak jakichże to podniosłych uczuć doznaje człowiek na widok tych wyniosłych, poszarpanych szczytów, śniegiem już pokrytych, zionących mroźnym oddechem; jakże zawrotne są te wiadukty rozpięte nad głębokiemi dolinami. Patrzymy tam w dół na domki rozrzucone niby zabawki po dolinie i pędzimy ponad nimi; chwilami zdaje się, że już już runiemy w przepaść, a tymczasem maszyna niezmordowanie stęka, sapi, syczy, wyrzuca kłęby dymu i pędzi naprzód bez spoczynku — obraz dzisiejszego człowieka w pogoni za dobrobytem, za szczęściem.....

Już noc zapadła gdy dotarłem do Sevnicy. Na przeciwległym brzegu Sawy, u stóp czerniejącego pasma gór błyskają światełka. To dom nasz radneński. Szybko wyskakuję z dusznego wagonu i dalej do naszych kochanych nowicyuszów. Lecz wpierw trzeba przejść Styks — Sawę, a u mostu jak Cerber siedzi stróż. Wyciągaj więc człecze grosz i płać kopytkowe, bo tak każe tutejsze prawo. Złożyłem więc i ja groszowy haracz, a po kilkunastu minutach staję w kaplicy zakładowej, gdzie właśnie odmawiano modlitwy wieczorne. Te głosy tak mi są znane! wszak tyle razy je słyszałem w Oświęcimiu. Tylko, że tu dominuje tenor, bas, nie zmącony żadnym sopranem, boć to już ludzie poważni, to kandydaci na naszych współpracowników na wspólnej niwie: to przyszli pionierzy w naszem Zgromadzeniu.

Klękam cicho przy drzwiach, by nie mącić świętego skupienia, a takby człek rad powitać się z nimi, wszakto tyle wesołych i smutnych chwil przeżyło się razem w Oświęcimiu! ileż to razy ta czwarta klasa swą pilnością i gorliwością w pracy osładzała znużonemu nauczycielowi chwile ciężkie.

Lecz ani po modlitwach nie można się witać, bo surowe milczenie wzbrania rozmowy. Witam więc tylko czcig. Ks. Dyrektora i magistra zarazem, naszego serdecznego Ks. Antoniego Symiora, witam Ks. Dr. Antoniego Hlondowskiego, naszego muzyka, który uciekł z Oświęcimia do Radny w tem przekonaniu, że w ciszy nowicyackiego domu, przy szumie poblizkich świerków łatwiej mu będzie przewracać akordy i snuć melodye, niż przy stuku i huku oświęcimskich maszyn. — Szczęść Boże w pracy!

Tymczasem nakarmiony i wyściskany przez naszego starego przyjaciela p. Żurka zasypiam strudzony nie dowierzając sobie, bym był już w Radnie.

Raniutko wypoczęty śpieszę na Mszę św., by módz jak najprędzej powitać nowicyuszów, którzy niecierpliwie oczekują wieści. Toteż zaledwie wyszedłem z kaplicy już mię chwycili i taki posypał się na mnie grad uścisków, pozdrowień, pytań o Oświęcim, o zakład, budowę, chłopców, przełożonych, że w końcu i dziesięciu języków byłoby mi za mało, gdybym był chciał każdego zadowolnić.

Po pierwszych powitaniach rozpatruję się po zakładzie a jest nowości nie mało. Stolarze, którzy tu dopiero przybyli z Oświęcimia prowadzą mnie do swej pracowni.

Aż się zdziwiłem! wszak tu pod przewodnictwem p. Mynarka robota na wielką skalę: tu stoi ołtarzyk prawie na ukończeniu, tam coś z dwadzieścia ławek do kościoła, drzewa całe stosy, tylko narzędzi trochę mało. Jeden kąt zajmuje nasz ślusarz, p. Besler, który pozazdrościł stolarzom i też otwiera pracownię nie na żarty. Kowadło już stoi jasne, lśniące, ognisko też wnet stanie, bo miech już w robocie. Za kilka dni rozlegnie się huk młota, a wtedy nie wiem, czy stolarze będą radzi z takiego lokatora, gdy im zacznie na kowadle dzwonić i iskrami sypać.

Nowicyusze też nie zasypiają gruszek w popiele. Chcą wykorzystać czas przed obłóczynami, więc

pracują, a obrali sobie dzieło nie lada. Spuścili z zabagnionego stawu w ogrodzie wodę, wywieźli muł, część dna wyłożyli kamieniami, które z poważnej odległości musieli zwozić i teraz właśnie napuszczają wodę. Narybku im tylko brak, a ładnego możnaby się spodziewać dochodu, bo staw nie mały, wody dosyć. Któżby się był spodziewał, patrząc dawniej na to bagnisko porosłe szuwarem, gniazdo żab i wężów, by w tak krótkim czasie, kilku dziarskich młodzieńców zdołało dokonać takiego dzieła. A oni zabrali się do pracy, nie stracili odwagi i dopięli swego. Oby wszystkie trudności życiowe z równą zwyciężyli wytrwałością!

W przerwach zaś, dla nabrania większej fantazyi, urządzają sobie wycieczki na okoliczne góry, skąd podziwiają piękność przyrody tutejszej. Nie żałują trudu, rękami i nogami pną się w górę, by módz po osiągnięciu szczytu z wysokości rzucić okiem na ścielące się u ich stóp wspaniałe widoki, któremi tak hojnie matka-natura ubrała Krainę. W dali majaczeją sine szczyty Triglavu, bliżej, w promieniach zachodzącego słońca świecą pasma wzgórz złotym, jesiennym liściem swych lasów, zaś w dole wiją się ciemne, zasnute mgłą doliny, przez które niebieską szarfą wije się Sawa, mrucząc o prastarych dziejach. A oni nie przyzwyczajeni do takich widoków, bo przybyli z mazowieckich równin, więc oko ich zdumione przesuwa się po tych cudach przyrody, biegnie hen, ku północnym sinym pasmom, a gdzie oko nie sięgnie, tam myśl wyściga się rozigrana ku dalekiej północy, do kochanego Oświęcimia, gdzie tyle drogich im serc bije.

Tymczasem Ks. Magister przygotowuje ich do tej metamorfozy, urządza konferencye, tłumaczy wzniosłość tego aktu, w którym mają się wyrzec świata, a równocześnie wysyła zaproszenia, boć to uroczystość niezwykła, więc godzi się odbyć ją z należytą pompą. Lecz przytem zasępia się mu czoło, bo kieszeń jego zaczyna nie na żarty chorować na suchoty, a wiadomo przecież, że chorobę tę już zdawna lekarze uważają za nieuleczalną. Ot, i teraz na cały dom trzy korony ma w kasie; to trochę za szczupły fundusz. Niechże się zdarzy jaki wypadek, a wnet nawet dla Cerbera na moście zabraknie opłaty i dom będzie nie na żarty odcięty od świata. Lecz ufności! Wszak Ks. Bosko właśnie wtedy bywał zadowolony, gdy mu pieniędzy brakowało — ufajmy a Bóg wspomoże!

— Miło minęło tych kilka dni w Radnie, miło zwłaszcza w takiem towarzystwie.

Lecz komu w drogę temu czas; więc po krótkiem a serdecznem pożegnaniu znów siedzę w wagonie, uwożąc z Radny miłe wspomnienia i wdzięczność głęboką za serdeczną gościnę. Ostatnią to rzucam stacyę, gdzie zostawiłem kochające serca — teraz pędzę między nieznanych mi ludzi. Lecz nie czas na marzenia. Oto po minięciu uroczej Krainy nowe widoki przesuwają się przed okiem. Zaczynamy jechać rozległą bezdrzewną, pustą równiną, pokrytą wielkimi kamieniami, że się ma wrażenie olbrzymiego cmentarzyska o tysiącach bezimiennych nagrobków. Na ten widok doznaje się uczuć tak smutnych i tak przygniatających, że na chwilę trzeba oderwać wzrok od tej masy kamieni, która żywo nasuwa myśl, że tak wyglądać będzie ziemia przy ostatecznem zmartwychwstaniu. A pociąg pędzi przez nieszczęsne okolice Krasu ze zdwojoną szybkością, jakby chciał jak najprędzej minąć tę krainę śmierci.

— Za Nabreziną znów inne widoki. Oto pociąg zaczyna biedz brzegiem morza. Już wieczór nadchodzi. Wody przybierają kolor fioletu i zlewają się na widnokręgu z szarym błękitem niebios. W dali widać parowiec zostawiający za sobą pióropusz dymu; bliżej brzegów kilka łodzi z różowemi od słońca żaglami kołysze się na falach. Spokój widać wszędzie; wtem jakiś huk odległy dolatuje naszych uszu: to w nadbrzeżnych fortach odzywają się armaty, a grzmot ich rozlega się w dal, dając znać, że Austrya czuwa.

Nie będę się rozpisywał o podróży przez Włochy, gdyż opisów takich mamy całe stosy, dość, że po całonocnej jeździe od Wenecyi, po krótkim przystanku w Medyolanie, dobijam szczęśliwie do Chivasso, tu biorę, dwukołowy powóz i dalej do Foglizzo. Lecz tu właśnie, u samej mety wystawiono moją cierpliwość bodaj czy nie na największą próbę. Jużby się chciało być na miejscu, a tymczasem nasz muł tak flegmatycznego był usposobienia, że żadne nalegania i zachęty ze strony woźnicy nie zdołały go zniewolić do przyspieszenia kroku. Powoli, a więc i majestatycznie dojechałem do naszej siedziby w Foglizzo. Tu zaraz na wstępie, ze sposobu przyjęcia tak serdecznego i tak braterskiego, odrazu zrozumiałem, czemu to przełożeni uznali za odpowiednie wysłać nas w tak odległe kraje. Jesteśmy tu pod bokiem Turynu, gdzie jest ognisko naszego życia Salezyańskiego, gdzie żywem tętnem biją tradycye Ks. Bosko.

Tu się ma rozwiązanie zagadki, czemu nasze Zgromadzenie tak szybko się rozwija. Kto tu przebywa, kto umie odczuć tego ducha Ks. Bosko, którym tu wszystko tchnie, kto się tu napatrzy na tę żywą tradycyę po wielkim Wychowawcy XIX w., która żyje w głównych naszych Przełożonych, ten nie będzie się dziwił i pytał, skąd się bierze ta energia życiowa w naszem Zgromadzeniu, bo ona spadkiem przeszła z Ojca na synów, ona stanowi naszą cechę; tę cechę, którą Ks. Bosko świat zadziwił.

Więc też na wszystko tu zważamy, wszystko studyujemy, staramy się by wraz z naukami i ta cecha przeszła w naszą krew i kości, byśmy po powrocie w ojczyste progi mogli skutecznie pracować dla naszych braci.

Polecamy się modłom i pamięci

Jeden z teologów w Foglizzo.

Za pozwoleniem Władzy Duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: Józef Gambino.
Drukarnia Miedzynarodowej Spółki Wydawniczej — Turyn, Corso Regina Margherita 176.
Odpowiedzialny redaktor na Austro-Węgry: G. B. Monauni. (Trento-Austria).

Jednym ze środków wspierania dzieł Wielebnego Jana Bosko w naszej ojczyźnie jest zdobywać na coraz nowych i gorliwych Pomocników i Pomocnic.

Aby być przyjętym, trzeba: a) liczyć przynajmniej lat 16; b) odznaczać się duchem religijnym i obywatelskim, używać dobrej sławy; c) być w możności wspierania i podtrzymywania Zgromadzenia Salezyańskiego, bądź sam przez się związanym datkiem, własną pracą i przyczynieniem się, bądź przez innych (zbierając u nich ofiary na cele Zgromadzenia i zachęcając do wpisywania się do grona jego Pomocników). Kto się zapisze do Związku, korzysta ze wszystkich jego przywilejów i bierze udział w zasługach całego Zgromadzenia Salezyańskiego, ale nie zobowiązuje się przeto w sumieniu; stąd mogą do Pomocników Salezyańskich należeć bez żadnej ujmy dla poszczególnych swoich i swojemu stanowi właściwych zajęć i obowiązków: całe rodziny, towarzystwa, zgromadzenia zakonne, zakłady, szkoły i t. p. Prosimy naszych P. P. wysłać niniejszy Spis adresami osób, o których wiedzą, że jeszcze nie są Pomocnikami.

*Uwaga.* — Celem uniknięcia utrudniania sobie pracy upraszamy wszystkich naszych Pomocników, by w każdym liście lub odezwie powtórzyli dokładnie swój adres (*gubernia, powiat, poczta, wieś, numer domu itd.*).

Zamawiając książki, medaliki, obrazki itp. nie potrzeba koniecznie pisać osobnego listu, lecz wystarczy w krótkich słowach wyrazić zlecenie na przekazie, na przykład w tych słowach:

*Przesyłam Przewielebnym Księżom ofiarę i proszę o następujące rzeczy:*
1) jeden egzemplarz Żywota św. Franciszka (1 zł reńsk.);
2) na jedną Mszę świętą (1 złoty);
3) kilka medalików i obrazków Maryi Wspomożycielki (kilkanaście). Reszta na cele Salezyańskie przeznaczam, (podpis i dokładny adres).

Jeżeli już koniecznie trzeba wysłać osobny list z wyszczególnieniem ofiary, tedy na liście, i na przekazie pocztowym musi być jednakowy adres i jednakowy podpis.

Nie wysyłać żadnych listów, przekazów itp. pod adresem *W. P. Monauni, Trento.* — Pan Monauni zajmuje się tylko wysyłką Wiadomości na Austro-Węgry i Prusy. Najlepiej załatwiać się listownie z naszymi domami w kraju (Oświęcim, Przemyśl).

O przyjęcie do zakładu (do gimnazyum) chłopców między 11—15 rokiem trzeba wnosić podanie: Do Przewielebnego X. Dyrektora Zakładu X. Bosko w Oświęcimiu (Austrya-Galicya).

Starsi młodzieńcy powinni się zwracać: Do Przew. X. Dyrektora Zakładu Salezyańskiego w Daszawie, p. Gelsendorf (Austrya-Galicya).

O przyjęcie do zawodów: *krawiectwa, szewctwa* lub *stolarstwa* należy się zwracać: Do Przew. X. Dyrektora Zakładu X. Bosko w Oświęcimiu (Austrya-Galicya).

Osoby, pragnące wstąpić do Zgromadzenia, powinny się zwracać: Do Przewielebnego X. Prowincyała Księży Salezyanów — Oświęcim — (Austrya-Galicya).

Spisy wypełnione uprzejmie wysłać pod adresem:

WIADOMOŚCI SALEZYAŃSKIE

**(ITALIA) Turyn, Via Cottolengo 32.**

Zakłady, jakie za Waszem poparciem powołałem do życia, bezemnie się już obejdą, nigdy jednakże się nie obejdą bez Was i tych wszystkich, co jak Wy, pragną krzewić dobro na tej ziemi Wszystkim tedy Wam je powierzam i Waszej oddaję pieczy.

*(Z testamentu X. Jana Bosko).*

Jednym ze środków wspierania dzieł Wielebnego Jana Bosko w naszej ojczyźnie jest zdobywać im coraz nowych i gorliwych Pomocników i Pomocnic.

Ażeby być przyjętym, trzeba: *a*) liczyć przynajmniej lat 16; *b*) pod względem religijnym i obywatelskim zażywać dobrej sławy; *c*) być w możności wspierania i podtrzymywania **Zgromadzenia Salezyańskiego**, bądź sam przez się (własnym datkiem, własną pracą i przyczynieniem się), bądź przez innych (zbierając u nich ofiary na cele **Zgromadzenia** i zachęcając do wpisywania się do grona jego **Pomocników**). Kto się zapisze do **Związku**, korzysta ze wszystkich jego przywilejów i bierze udział w zasługach całego **Zgromadzenia Salezyańskiego**, ale nie zobowiązuje się przeto w swojem sumieniu; stąd mogą do **Pomocników Salezyańskich** należeć bez żadnej ujmy dla poszczególnych swoich i swojemu stanowi właściwych zajęć i obowiązków: całe *rodziny*, *towarzystwa*, *zgromadzenia zakonne*, *zakłady*, *szkoły* i t. p. Prosimy naszych P. P. wypełnić niniejszy Spis adresami osób, o których wiedzą, że jeszcze nie są Pomocnikami.

*Uwaga.* — Celem wzajemnego ułatwiania sobie pracy, upraszamy przezacnych naszych Pomocników, by w każdym liście lub odkrytce powtórzyli dokładnie swój adres: (*gubernia*, *prowincya*, *poczta*, *ulica*, *numer domu* itd).

Zamawiając książki, medaliki, obrazki itp., nie potrzeba koniecznie pisać osobnego listu, lecz wystarczy w krótkich słowach wyrazić zlecenie na przekazie, na przykład w tych słowach:

*Przesyłam Przewielebnym Księżom ofiarę z prośbą o następujące rzeczy:*
1) jeden egzemplarz Żywota św Franciszka (1 1/2 rubla);
2) na jedną Mszę świętą (1 rubel);
3) kilka medalików i obrazków Maryi Wspomożycielki (25 kopiejek). Reszta na cele Salezyańskie jako ofiara.

*(podpis i dokładny adres).*

Jeżeli już koniecznie trzeba wysłać osobny list z wyszczególnieniem ofiary, tedy na liście i na przekazie pocztowym musi być jednakowy adres i jednakowy podpis.

Nie wysyłać żadnych listów, przekazów itp. pod adresem *WP. Monauni, Trento.* — Pan Monauni zajmuje się tylko wysyłką Wiadomości na Austro-Węgry i Prusy. Najlepiej załatwiać się listownie z naszymi domami w kraju (Oświęcim, Przemyśl).

O przyjęcie do zakładu (do gimnazyum) chłopców niżej lat szesnastu, trzeba wnieść podanie: Do Przewielebnego X. Dyrektora Zakładu X. Bosko w Oświęcimiu (Austrya-Galicya).

Starsi młodzieńcy powinni się zwracać: Do Przew. X. Dyrektora Zakładu Salezyańskiego w Daszawie, p. Gelsendorf (Austrya-Galicya).

O przyjęcie do *szewstwa*, *krawiectwa*, *stolarstwa* lub *ślusarstwa* należy się zwracać: Do Przew. X. Dyrektora Zakładu X. Bosko w Oświęcimiu (Austrya-Galicya).

Osoby, pragnące wstąpić do Zgromadzenia, powinny się zwracać: Do Przewielebnego X. Prowincyała Księży Salezyanów — Oświęcim — (Austrya-Galicya).

Spisy wypełnione upraszamy wysłać pod adresem:

WIADOMOŚCI SALEZYAŃSKIE

**(ITALIA) Turyn, Via Cottolengo 32.**

# SPIS

## osób, które sobie życzą, należeć, lub które można wpisać do Związku Pomocników Salezjańskich

| NAZWISKO | IMIĘ *(w skróceniu)* | CZEM JEST | MIEJSCOWOŚĆ *w której mieszka* | **ULICA i NUMER DOMU** | OSTATNIA POCZTA | GUBERNIA *lub* PROWINCJA | **Czy chce pobierać Wiadomości?** | OFIARA |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| | | | | | | | | |
| | | | | | | | | |
| | | | | | | | | |
| | | | | | | | | |
| | | | | | | | | |
| | | | | | | | | |
| | | | | | | | | |
| | | | | | | | | |
| | | | | | | | | |
| | | | | | | | | |
| | | | | | | | | |
| | | | | | | | | |
| | | | | | | | | |
| | | | | | | | | |
| | | | | | | | | |

**Podpis i adres wyayłającego:**

Jedynym ze środków wspierania dzieł Wielebnego [illegible] w naszej ojczyźnie jest zbieranie [illegible] nowych i gorliwych Pomocników [illegible].

Ażeby być pożytecznym, trzeba się starać przyczyniać [illegible] religijnym i obywatelskim zasadom dobrej sławy [illegible] i podtrzymywania Zgromadzenia Salezyańskiego, bądź [illegible] datkiem, własną pracą i przyczynianiem się, bądź przez [illegible] ofiary na cele Zgromadzenia i zachęcając do wpisywania się do [illegible] Pomocników. Kto się zapisze do Związku, korzysta ze wszystkich [illegible] i bierze udział w zasługach całego Zgromadzenia Salezyańskiego, [illegible] się przeto w swojem sumieniu; stać może się Pomocnikiem Salezyańskim każdy bez żadnej zmiany dla poszczególnych swoich i swojemu stanowi [illegible] i obowiązków, [illegible] Zgromadzenia [illegible] p. Promotorom naszym [illegible] wypełnić [illegible] Spis [illegible] wiedzą, że zostaną się Pomocnikami.

Uwaga. — Celem wzajemnego ułatwienia sobie pracy [illegible] naszych Pomocników, by w każdym liście lub [illegible] dokładnie swój adres (zawsze, powiecie, poczta) [illegible].

Zamawiając książki, medaliki, obrazki itp., nie potrzeba [illegible] osobnego listu, lecz wystarczy w krótkich słowach wymienić [illegible] na przekazach tych słowach:

*Przykład. Przesyłam [illegible]:*
*1) [illegible] św. Franciszka [illegible];*
*2) [illegible];*
*3) [illegible]*

Jeżeli już koniecznie trzeba wysłać osobny list z [illegible] tedy na liście i na przekazie pocztowym musi być jednakowy [illegible] podpis.

Nie wysyłać żadnych listów, przekazów itp. pod adresem [illegible] Trzek. — Pan Monauni zajmuje się tylko wysyłką Wiadomości [illegible] i Przez. Najlepiej załatwiać się listownie z naszymi [illegible] (Oświęcim, Przemyśl).

O przyjęcie do zakładu (po skończonym [illegible]) trzeba wnieść podanie: Do Przewielebnego X. Dyrektora Zakładu X. Bosko w Oświęcimiu (Austrya-Galicya).

Starsi młodzieńcy powinni się zwracać: Do Przew. X. Dyrektora Zakładu Salezyańskiego w Daszawie, p. Gelsendorf (Austrya-Galicya).

O przyjęcie do [illegible] zwracać: Do Przew. X. Dyrektora Zakładu X. Bosko w Oświęcimiu (Austrya-Galicya).

Osoby, pragnące wstąpić do Zgromadzenia, powinny się zwracać Do Przewielebnego X. Prowincyała Księży Salezyanów — Oświęcim — (Austrya-Galicya).

Spisy wypełnione uprasza się wysłać pod adresem:

WIADOMOŚCI SALEZYAŃSKIE

(ITALIA) Turyn, Via Cottolengo 32.

# Obrazki z życia świątobliwej Małgorzaty Bosko.

Zaledwie pojawiło się u nas pierwsze wydanie polskie tego pięknego, dla rodzin chrześcijańskich wprost nieocenionego życiorysu, rozkupiono go w krótkim czasie tak doszczętnie, że *Redakcya Wiadomości Salezyańskich* musiała się publicznie dopraszać jednego bodaj egzemplarza. I bynajmniej nas to jego powodzenie nie dziwi. Autor tej cennej książki, słynny biograf Wielebnego Jana Bosko. Ks. Jan Lemoyne, wlał w nią tyle miłości szczerze synowskiej, tyle ciepła i uczucia, że życiorys ten czyta się jednym tchem, jak najciekawsze opowiadanie. Co zaś może być ciekawszego dla polskiej rodziny wieśniaczej albo robotniczej, co bardziej pouczającego i pożyteczniejszego nad to, co jej obiecuje i daje złote pióro Ks. Lemoyna?

„Nie będziemy opisywali czynów nadzwyczajnych i bohaterskich — pisze w przedmowie — ale przedstawimy żywot pełen świętej prostoty, stateczny w spełnianiu obowiązków, czynny w wychowaniu własnych dziatek, zapobiegliwy wśród trudów i trosk, a pochopny do wszystkiego, co powinność od niej wymagała..... Ona umiała pomyślnie dokonać posłannictwa, które jej Bóg powierzył. Bieg jej dni podobny był do strumienia czystej wody, który staczając się bez szumu z pagórka rodzinnego. ożywia nadbrzeżne trawy i kwiaty, a wkońcu zlewa się w cichości z wodami rzeki... Szczęśliwi synowie, którzy mieli i mają szczęście posiadać takie matki.“

Obecne wydanie powiększono znacznie na podstawie olbrzymich „Pamiętników Ks. Bosko,“ tegoż autora. Trzydzieści rozdziałów na 200 stronicach druku obejmuje żywot prosty, wieśniaczy a jednak dziwnego uroku pełny, tej świątobliwej niewiasty. Nazwano go *Obrazkami*, ponieważ każdy niemal rozdział wraża się w pamięć czytelnika, jak piękny, żywo zajmujący obraz.

Autor przeprowadza Małgorzatę w naszych oczach przez różne stany życia. Widzimy ją jako wiejską dziewczynę i córkę w domu Ochienów, widzimy ją jako żonę, matkę, wdowę; widzimy jej stosunki z pasierbem, z świekrą, z mieszkańcami wioski, ale najlepiej, najwydatniej przedstawia nam ją autor jako matkę, jako wzór matki chrześcijańskiej, jako wychowawczynię pierwszorzędną pod wieśniaczą strzechą. I jeśli się nie mylimy, to właśnie z tej przyczyny książka ta cieszy się tak wielkiem powodzeniem szczególnie wśród matek Polek. Dobre, chrześcijańskie wychowanie dzieci, jeśli kiedy, to w naszych czasach, jest rzeczą niezbędną i nader trudną. Wszyscy dobrze o tem wiemy, ale prawdopodobnie najlepiej widzą to nasze matki.

*Obrazki z życia świątobliwej Małgorzaty Bosko* są właśnie taką nauką praktyczną wychowania domowego dzieci i dlatego stanowią i stanowić będą ulubioną a zawsze pożyteczną książkę do czytania dla wszystkich, szczególnie zaś dla matek polskich.

Nabyć jej można za 60 hal. w zakładzie Salezyańskim w **Oświęcimiu. Galicya. Austrya.**

# ZWIĄZEK MSZALNY

## u Księży Salezyanów w Przemyślu, ul. św. Jana, 15.

Dzięki Bogu Najwyższemu, lud nasz umie ocenić Przenajświętszą Ofiarę, w której Boski nasz Zbawiciel Jezus Chrystus ofiaruje się w sposób bezkrwawy Ojcu Swemu niebieskiemu za żywych i umarłych.

Owoce Mszy świętej — zasługi Jezusa Chrystusa — spływają obficie na żywych: wzmacniają nas w chwilach ciężkich życia, podnoszą ducha naszego do wdzięczności za łaski otrzymane, wypraszają nam miłosierdzie Boże za grzechy nasze. Spływają ponadto obficie na dusze w czyśćcu cierpiące, przynosząc im ulgę w cierpieniach.

Któż z nas nie potrzebuje wszystkich tych łask, lub przynajmniej niektórych z nich? Według nauki Kościoła świętego, owoce mszy świętej spływają na wszystkich ludzi, lecz obficiej na tych, w których intencyi ta Przenajświętsza Ofiara się odprawia.

Aby zatem dla jak największej liczby żywych i umarłych owoce Mszy świętej przystępnymi uczynić, założyli Księża Salezyanie w Przemyślu, za zezwoleniem władzy duchownej, Związek mszalny, do którego mogą przystąpić wszyscy, którzy datkiem w kwocie przynajmniej 1 marki przyczynią się do budowy kościoła Księży Salezyanów w Przemyślu. Ten nowozałożony Związek mszalny polega na tem, że za wszystkich ofiarujących wzmiankowaną kwotę, odprawi się w nowo wybudowanej świątyni pod wezwaniem św. Józefa 1000 (tysiąc) mszy świętych. Budowę rozpoczęto w tych dniach. Do Związku można zapisywać także zmarłych.

Imiona i nazwiska żyjących, którzy do Związku mszalnego przystąpią i umarłych podanych, wpisze się do osobnej księgi, którą ku wiecznej rzeczy pamięci przechowywać się będzie w archiwach Zakładu Salezyańskiego w Przemyślu.

Wszelkie inne datki, większe lub mniejsze, na rzecz budowy kościoła św. Józefa, uprasza się posyłać pod adresem:

**WIELEBNY KSIĄDZ DYREKTOR**

**Ks. Ks. Salezyanów**

**AUSTRYA** **w Przemyślu**
GALICYA ul. Św. Jana, l. 15.

Przez Najsłodsze Serce Pana Jezusa, za przyczyną Matki Najświętszej Wspomożycielki Wiernych, oraz św. Józefa, dziełu błogosławię i polecam takowe ofiarności Wiernych.

† **JÓZEF SEBASTYAN,**
**Biskup przemyski o. ł.**